

Café Europa

Pokolenie Bośni / Bosnian Generation

A *NATOMY OF HEARING*

I always hear the pulsing of blood
somewhere under the notch of the temple
and a tingle from the center of the cranium
incompatible with the voices of the living
a tightening knot deep in the throat
a tangle of primordial fear
and portent of another life
a quivering above the pelvis since the beginning
of pubescence as if I were a beast
bringing in the same breath life and dishonor
cramps behind the knees while standing
in the altai mountains as if at the right
hand of god a light numbness in the sole
when I come upon an unwritten line
of a poem

K LAUSOS ANATOMIJA

visad girdžiu kraujo tvilksėjimą
kažkur po smilkinio dauba
ir su gyvųjų balsais nesutaikomą
spengsmą iš kaukolės centro
užveržtą mazgą galugerklį
rezginį pirmykštės baimės
ir kito gyvenimo nuojautos
virpesį papilvėję nuo brendimo
pradžios tarsi būčiau gyvybę
duodantis ir garbę atimantis žvėris
traukulius pakinkliuos stovėdamas
altajaus kalnuos tarsi dievui
iš dešinės lengvą tirpenimą paduos
kai aptinku eilėrašty
neparašytą eilutę

G ODBONE

the father died didn't leave a will the son took the body to the ruins of the mill on the hill and left it and then received a sign three days three nights the sky was choked with dust until silence settled and gold separated from silver silver from copper hawks dogs and rats divvied up the copper coins silver was scoured by the acid of the sun the son packed the gold into his mother's hand-woven sack and left for vilnius a middle-aged man walked around repeatedly opening and shutting doors in search of luck and not finding any he showed the father's gold to goldsmiths and craftsmen to rich jews and lowlife pimps one bought a shinbone for a flute another fingerbones for a bracelet a third chap got a good deal on a pelvic bone for his daughter's wedding the fourth one bought some but didn't say what for and so left with just the skull on cold nights he'd curl up stuffing the sockets with newspapers and then sleep like a baby in its womb without any dreams and myself I bought one bone but don't know its name neither me nor my son he calls it godbone

DIEVAKAULIS

tėvas mirė nepaliko testamentą išnešė sūnus kūną į malūno griuvėsius ant kalno ir paliko ir sulaukė ženklo tris dienas tris naktis dangus maišės su žeme kol tylai stojus auksas atsiskyrė nuo sidabro sidabras nuo vario pesliai šunys ir žiurkės išsidalijo vario monetas sidabrą išgraužė saulės rūgštis auksą sūnus susikrovė į motinos austą drobės maišą ir išėjo į vilnių ėjo pusamžis vyras varstydamas duris ieškodamas laimės neradęs rodė tėvo auksą juvelyrams ir amatininkams turtingiems žydams ir barų suteneriams vienas nusipirko blauzdikaulį fleitai kitas pirštikaulius apyrankėms trečias pusvelčiui išsiderėjo dubens kaulą dukros vestuvėms ketvirtas taip ir nepasakęs kam viską išpardavė pasiliko sau tik kaukolę šaltom naktim susiraitydavo užkimšęs laikraščiais akiduobes ir kaip kūdikis iščiose miegodavo nesapnuodamas ir aš pirkau vieną kaulą bet nežinau kaip jis vadinasi nei aš nei mano sūnus jis sako dievakaulis

M

ARCHÉ DE LA POÉSIE

sprzedalbym wiersz oraz wszystkie części zamienne
mało używany w najstarszym europejskim języku
marynarka autora z second handu
z kieszeniami pełnymi tytoniowych okruchów
choćby za pół darmo choćby nawet za butelkę czerwonego
z okolic bordeaux mógłbym zwiesić nogi
na brzegu sekwany z rybakami gapiłbym się w migotliwą
wodę woda jak woda w całej europie
nieco mętna odbicia na dnie nie widać
tylko zmarszczki falki kiedy obok przepływa z sapaniem
tryskający radością życia parostatek
nie znam ceny może musiałbym dopłacić
jak tej czarnoskórej z saint denis
za wyuzdanie wyobraźni
na rynku targuję się o każde
słowo gołębie gruchają śmiało nurkują
pomiędzy straganami roznosząc gałązki palmowe
jedna i dla mnie robię wszystko żebym tylko nie musiał
pisać karmię gołębie jadę pociągiem
z każdym dniem idzie mi coraz lepiej
sprzedałbym ostatni wiersz oraz wszystkie
części zamienne i hajda z powrotem do lasu

Przetłumaczyła z litewskiego Alicja Rybałko

*S*IEDZIAŁEM W POŁUDNIE Z PRZYJACIELEM
DON KICHOTEM W KAWIARNI I POPIJAŁEM JEREZ

stolice imperiów najczęściej pachną przyprawami
liście bobkowe czarny pieprz bergamota
na środku placu z lwiej paszczy tryska kryształowa woda
w architekturze jeszcze się da wyczytać
palimpsest wyniosłej samotności i nudy
upał pora sjesty jerez pobudza
wyobraźnię: na twarzy dziewczynki pierwsze oznaki pożądania
już wiem czym to się skończy
przemienię się w byka i zaniosę ją na morze kurońskie
córka toreadora matką moich wierszy
będzie rodziła naród za narodem moja krew
popłynie żyłami wisły i niemna
dużo różnych rzeczy zdarzy się w moim życiu
będą wojny pomory zdradzę i zostanę zdradzony
będę chodził po miastach w podartych skarpetkach
odwiedzał własnych zięciów po całej europie
burmistrzów głowy państw dziwki uliczne
różnie to będzie ale wiem że skończy się dobrze
tak kończą się wszystkie podróże w kraju morfeusza

Przetłumaczyła z litewskiego Alicja Rybałko

J RZY KOPIEJKI

zaciska w garści trzy kopiejki
i na złamanie karku w ulicę za zakładem fryzjerskim
gdzie zardzewiały automat do wody sodowej
już starszy ostrzyżony na jeża z grzywką
uzbrojony po zęby
na kolanach cała anatomia tego lata
już wie wypije pół szklanki
więcej syropu mniej wody
potem znów powróci na wojnę

nie wrócił jakoś zablądził
może to wina zmierzchu może zmieniły się czasy
zaczął dorastać w mojej wyobraźni
wybuchał nie mieści się w butach
w ramie lustra
wąs mu się sypie pisze wiersze
poborowy języka coraz celniej
trafia w biegnącą sylwetkę
w przystinie, groznym na podwórku przy dzierżyńskiego

nic nie rozumie wojna się nie kończy
uciekła z wyobraźni i szerzy się
jak plama krwi pod bandażem
nie rozumie dlaczego boli
w mojej wyobraźni amputowane
dzieciństwo kikut pamięci
zaciska w garści trzy kopiejki

Przetłumaczyła z litewskiego Alicja Rybałko

V ERTIGO

at the beginning one's time's one's own ales a stone breaks loose
 from the three-headed hill one can see a long way unfinished tracks
 in the snow at the beginning one's time's one's own vertigo the head breaks
 loose from the milky cloud a poem with a dedication the last poem
 snow between teeth validol under the tongue at the beginning
 one's time's one's own afterwards a poem
 —a poem is one's own time
 let it be I hear a signal on the eardrum as if about nothing
 about what could have happened hasn't happened so nothing
 maybe just the tie of blood rh positive two waves at the seashore
 a sum a silent resonance how many coincidences
 in this century of mutes deaths if only for the young
 —do not mention the name of death vertigo
 but the depths bilingual dictionaries involve us too one word is clearer
 another one just for an interjection heads are cut off snow lights
 the way heads roll over snow until twilight the signal
 in the shell of the ear disappears the murmur of the sea again
 like yesterday that time when we stood open-mouthed
 empty madness bursting
 —empty cartridges also enlighten

V ERTIGO

iš pradžių savas laikas alešai atitrūksta nuo trigalvio kalno akmuo toli matyti sniege
neužbaigtos vėžės iš pradžių savas laikas vertigo galva atitrūksta nuo pieninio
debesies eilėraštis su dedikacija yra paskutinis tarp dantų sniegas po liežuvio
validolis iš pradžių savas laikas po to eilėraštis

– eilėraštis yra savas laikas

tebūnie girdžiu membranoj signalą tarsi apie nieką apie tai kas galėjo įvykt
neįvyko taigi nieko gal tik kraujo ryšys rezus plus dvi pajūrio bangos suma
tylus rezonansas kiek sutapimų šiame nebylių amžių mirtys ir tos tik jauniems
– neminėk mirties vardo vertigo

bet įtraukia mus gelmės dvikalbiai žodynai vienas žodis aiškesnis kitas tik vietoj
jaustuko galvas kerta sniegu pasišviečia galvos rieda sniegais iki pat sutemos
prapuola signalas dešinės ausies kriauklėj vėl jūros ošimas kaip vakar kaip ir
anąsyk kai išsizioję stovėjom sproginėjant tuščiai beprotybei

– tušti šoviniai apšviečia ir mus


 ŁOTY SEZON

żołnierskimi butami deptałeś boże winnice
 gdzieś nad adriatykiem w medanie prisztinie może w piranie
 geografia to twoja pięta achilleśa od czasów szkolnych
 znoszony szynel wypłowiąły zamiast znaków rozpoznawczych pierwotna
 barwa sukna rzymskie zmęczenie
 czy po prostu nuda na skraju imperium
 na łąkach skrzepy brudu i krwi nocami było tyle czasu
 by rozmyślać o możliwościach życiowych innych życiach tu jeszcze
 o kobiecie o wielu młodych kobietach
 uwięzionych w mansardach twoich snów w powiewach
 południowoschodniego wiatru który co rano przynosi odłamki
 okrętów jasona
 pot namiętnych mężczyzn miraż najpiękniejszej kobiety
 ile ich było każdy topielec mówiłby prawdę
 i tylko prawdę ale żywi wciąż się boją pomyłki
 wciąż się mylą i pozwalają przykuć do wiosł
 do słupa śpiewające kobiety w winnicach
 z którego wieku historia twoja pięta achilleśa
 tylko erekcja skrywana pod tarczą zdradza
 twoją wędrowną duszą wojownika bezlitosną
 żądzę mordy nawet teraz w końcu stulecia
 na tle wypłowiałej architektury gdzie zwieszające się
 sznury pod ciężarem prania majteczek i staników
 nie jesteś obojętny wobec śmierci może tylko wino
 tylko w kieszeni džinsów skierowanie agencji turystycznej
 w greckich sandałkach T-shirts
 kiedy sięgasz strzałą spojrzenia ud sprzedawczynie winogron
 dolatuje cię zapach perfum pięknej heleny

Przetłumaczyła z litewskiego Alicja Rybałko

*L*ONGING FOR ONESELF (DORUL DE SINE)

In the middle of the day, in the cascading noise of the city,
on a sidewalk filled with people of all tongues and all colors
You're suddenly overcome by the unexpected feeling of longing, of need
as if you were invaded by a strange hunger, that requires no food
and by a terrible thirst, that requires no liquids
as if you were remembering a loss, not of someone,
but of something rare and precious, a state of mind, a breeze
that left you once, you don't know when and where,
but it hurts you, you need it.

You look around, people hurrying, shop windows and cars honking
but you're suddenly alone, nowhere, isolated
like under a sort of large, invisible glass cupola;
astounded, you slow down a little, you stop
there's an emptiness in your heart, there's a painful desire in your body
you try to understand; a silence, a void expands in your mind
but it isn't someone, nor something that's missing –

It's just the strange longing for something that could lift you up
towards a joy, an intensity, that you've long since forgotten
or that you've never known before,

but your cells know it, your breath remembers it,
your flesh carries it in its now painful memory

An enormous joy, an inner explosion, an huge kindness
that wants to go through you, to enlighten you lighting fast
wants to rise up and burst forth towards the stars

Take you with it in the total and limitless light
 where your unnamed longing meets a vaster yourself
You, enlarged for a second to the size of the entire world,
 equal to the universe and the universe exults happy in you
You, seemingly reborn, in yourself, from the profound longing
 of your hidden being – which has stopped you in the middle
 of the sidewalk, among people of all colors and tongues
You, in the infinite freedom and the unbridled joy,
 are finally, for an endless moment
the One that you are!

Translated by Madalina Banucu

Mie nie spada w niepamięć, szklanka nigdy nie będzie napełniona,
skórka pomarańczy mocno pachnie, zatrząskują się wszystkie pułapki,
cienki ślad krwi dzieli wiersz od papieru, – i co
pozostaje, że tli się łagodnie jak ogarek jointa którego nikt

nie wypalił do końca? i co gaśnie w byłych armiach? I co?
naprawdę. pion który wbija wszystkich ludzi w ziemię. młode
drzewka w które nigdy nie strzeli piorun. nigdy bez
wyjątku. I miłość mimochodem przed letnią ulewą

nakreśloną nad polem. i obraz w żółtej temperze. może kogoś
znanego. jakby na chwilę spoza warstwy barwy na powierzchni
zaśniła sina bladość chłopca który cały jest konaniem. i

nie leży w łóżku. a w chwili później już go nie ma: gdzieś
po drugiej stronie znika w eterze i w trwałym znaku zapytania.
metafora jest tylko streszczeniem. i to niedobranym. na dzisiaj, nawet
nie do jutra.

Przełożyła Joanna Kornaś-Warwas

W wąskim cieniu domów leżą psy. Jeżyna
i bluszcz obrastają chłodne mury.
W kinie idą „Kochankowie Marii”.
Ktoś w wilgotnej kawalerce pije

swoje ósme piwo. I rozbłyski burzy prze-
szywają mu ciało. Nie słyszy furkotu spóźnionych
jaskółek spieszących na południe. Ostro jak krawędź
ostrzygi tęsknota za białym wielorybem wżera mu się

w wosk mózgu. I w kość i w skórę. Powtórzy starą
opowieść. W jego drżących mięśniach zbiera się
rozżarzony płyn, w głowie krzyczą mu szalone ptaki
i owady. W wiecznie zranionych oczach odbłask oceanu.

Przełożyła Joanna Kornaś-Warwas

B OSNIAN ELEGY

for Miljenko Jergovič

Sing, young poet, touch my inflamed skin, tanned by lengthy treks
through trackless hills to the world's end. Don't give up now,
though the gunners' feverish lenses stare at damp stains on the facades
of libraries and palaces that constantly call memories of a cruel century to mind.

Simply list what's left: flocks of swallows twittering
beneath bygone arches and campaniles, the eternal wisdom of a French novel
we read in bomb shelters, the downy blond fuzz on the earlobes
of babes that disappears so suddenly, dull thuds from Pannonia's plains.

The smell of gunpowder irritates human lungs. We have not crossed the threshold.
So speak now when deep pools of never consecrated water
make waves. Rings glow in the depths. Things past are joyous.

Believe me, truly: I am ready, sing to me for the last time
of love's tempests, of the mysteries of women's shadows, and
marble stairs. Sing, as you sang before you turned gray!

Translated by Andrew Wachtel



Milijenko Jergoviciowi
Sarajewo – Zagrzeb

Śpiewaj młody poeto, dotknij mej podrażnionej skóry, spalonej od długich
ucieczek przez horyzonty, pagórkowate bezdroża, nie przestawaj teraz,
gdy rozpalone źrenice artylerzystów wbite są w wilgotne plamy fasad
muzeów i pałaców, co przycupnęły niemo. Jak nadużyte świętości.

Wylicz po prostu to, co jeszcze zostało: chmary jaskółek, swiergoczących
pod byłymi arkadami i wieżami kościelnymi, wieczna mądrość francuskiej powie-
ści,
którą czytamy w schronach, delikatny, jasny puszek na płatkach uszu
niemowląt, który nagle znika, przytłumiony grzmot z równin Panonii.

Zapach prochu drażni płuca. My nie przekroczyliśmy linii na piasku.
Przemów teraz, woda spienionej głębi faluje. Nie wiem, czy będzie
błogosławiona. Na dnie pobłyskują pierścionki. Radują się rzeczy nieznanne.

Uwierz, naprawdę: jestem przygotowana. Jeszcze zaśpiewaj mi ostatni raz
o miłości czulej do burz, o tajemnicy kobiecych cieni i
marmurowych schodów; śpiewaj, jak śpiewałeś, nim osiwiłeś.

Przełożyła Katarina Šalamun-Biedrzycka

*LEGIES FROM THE NORTH II*

The sodden moss sinks underfoot when we cross
half frozen bays and walk through birch groves,
wandering in an uneven circle that widens into
darkness, through the minds and bodies of men and
animals trapped in last year's snow – no: trapped from
the beginning, emptiness all around us, ice collecting on
our pale faces, I can hear you singing on the run, an
unknown melody, I can't make out the words, clouds of
breath freeze on your fur collar, eyes open wide as we
trudge through silence and weakening starlight, through
the fevered babble of children exiled to distant camps,
insects, curling up under bark, December or June, no
difference, ashes blanket the ground as far as you can
see, damp wool of shirts, we wade through the fog
rolling in from the hills, oozing into our lungs, hills
where there must be flowers about to bloom under a
woman's eyelids, who dreams of dark faces hardening
into granite, the snow's covering us, we're asleep on our
feet, under the steel-gray sky, oblivious to the rhythms
of sunrise and sunset, endless, as if they never began,
our teeth crack in the cold, we don't want to separate,
I can barely swallow, tell me the lyrics of your song,
I want to sing with you.

Translated by Chris Merrill & Aleš Debeljak

*LEGIE PÓŁNOCY (I)*

Rozmokła miękkość mchu ugina się pod stopami, gdy, ja i ty, idziemy, przez na pół zamrażnięte zatoki, między rzadkimi kępami brzoź, podróżując w nieprawidłowym kręgu szerzącym się w ciemności, przez mózg i zdrętwiałe ciała ludzi i zwierząt, zakutych w lód, który musi tu być już od zeszłego roku, nie: od zawsze, równomierna pustka przed nami, na źle ukrwionych policzkach zbierają się kryształki lodu, słyszę cię, jak półgłosem, jak w ucieczce, nucisz nieznaną melodię, nie rozróżniam słów, twój oddech zamarza na futrzanym kołnierzu, z oczami otwartymi szeroko idziemy przez ciszę i wodnisty blask gwiazd, przez gorączkowe pomruki dzieci w nieznanym obozisku, owady wędzną pod korą, grudzień czy lipiec, bez różnicy, popiół przykrywa ziemię, jak daleko sięga wzrok, mokra wełna koszul, torujemy sobie drogę przez mgłę, która wdziera się w płuca, jakby przychodziła spoza wzgórz, za którymi przeczuwam rozkwitłe kwiaty pod powiekami kobiet, marzących o pociemniałych twarzach, krzepnących w granit, gęsty śnieg nas zasypuje, stalowoszare niebo, śpimy na stojąco, i rytm Świtów i zachodów tak naprawdę nas nie ciekawi, bez końca, jakby się nigdy nie zaczęło, szkliwo na zębach pęka od mrozu, nie chcemy się rozstać, ledwie przełykam ślinę, powiedz mi słowa pieśni, chciałbym śpiewać z tobą.

Przełożyła Katarina Šalamun-Biedrzycka



HUNTER'S PATH

You will sail to the distant Danube through narrow river channels.
Drizzle. Gravestones and monuments. Creamy fog.
Under the glassy dome of the eternal empire a hawk
swoops down on its tiny prey. It escapes your eyes.
You will float beyond canals destroyed by unknown powers,
beneath the balconies of cloisters where ancient doomsday tomes reside.
You will cross frontiers, easily and without resistance, like a sneaky fox
you flit by the window sills. On the window frames fresh blood glistens

beneath layers of pastel paint. You are invited into the embrace
of unnamed villages, which sway with yearning after flaming
miracles. Pale old age will corrode you as you sail for many years.

Destruction and deliverance are nothing to you. You left no one at home.
You push forward to the stony walls of a fortress that faithfully waits
for the repetition of history's final rite. A child's breath will destroy it.

Translated by Andrew Wachtel

M

YŚLIWSKA INICJACJA

Ciasnymi korytarzami rzek będziesz żeglował do Dunaju i Morza Czarnego.
Po nagrobkach żołnierzy i mnichów, przez śmietaną mgiełek uderza
grad. Pod kopułą bezkresnego imperium jastrząb spada
na swoją zdobycz. Jest taka drobna, że umyka oczom. Płyniesz poza

kanałami rozdieranymi nieznaną siłą, obok klasztoru, gdzie
rodowe zapisy obiecują wizję rajów. Lekko przekraczasz granice,
bez oporu, bezszelestnie, jak lis przemykasz przez śpiące domy.
Pierworodnego guwernantka przewinęła po raz ostatni. Pod pastelowymi

warstwami żarzy się świeża, jasna krew. Osamotnione osiedla pragną
by uratował je ognisty cud. Dlatego nie zrywają się
do ucieczki. Biel starości nadgryza cię, gdy już wiele lat żeglujesz.

Klęska i triumf to dla ciebie zeszłoroczny śnieg. Przesz dalej,
do kamiennego muru i fortecy, pokornie czekającej, by historyczny rytuał
mógł się znów powtórzyć. Zburzy ją leciutki oddech dziecka.

Przełożyła Katarina Šalamun-Biedrzycka

J HE CITY AND THE CHILD

No cry, really, is meaningless. Only when an archangel
Appears, like a blue gentian on a mountain slope, do we know,
If only for an instant, our native land. Your Babylonian
Moan won't die away. That's why poets never sleep. The task

Seems clear now: this will be chronicle of pain.
The size of a melting glacier. Which floods poppy fields
And villages, targets painted on the portal's slender frieze,
The lush filigree of Turkish silver: each tear deepens you.

You stand on the immovable rock. The world around you crumbles
Into the abyss. You drink the water of life, drawn from the mouth
Of those who breathe with you. Each morning they come to witness

Your rebirth. Like this poem. It won't be long before an avalanche
Silences it. But a thousand echoes will spring up in its place. For the love
Flowing through your veins is the seed, the blossom, and the fruit.

Translated by Christopher Merrill

M IASTO I DZIECKO

Żaden jęk, naprawdę, nie jest bez celu. Tylko gdy archanioł
ukazuje nam się jak goryczka w górach, na drobną chwilę
dane nam jest poznać, gdzie miejsce wybranej ojczyzny. Nie zamrze
twój babiloński jazgot. Dlatego poeci nie śpią. Zadanie

zda się teraz jasne: to będzie kronika, a w niej ból.
Wielki jak gruda lodowca, który topnieje. I zatapia
plantacje maku, wsie, tarcze na fryzie smukłego portalu oraz
rozkoszne fałdy tureckiego srebra: każda łza cię pogłębia.

Stoisz na skale, która się nie ruszy. Wokół ciebie świat
kruszy się w przepaść. Ty pijesz żywą wodę. Czerpiesz ją z ust
ludzi oddychających z tobą. Są obok jako dowód, gdy rano

znów się rodzisz. Tak jak ten wiersz. Jeszcze trochę i uciszy go
lawina. Lecz zamiast niego tysięczne echo zerwie się w powietrze.
Ponieważ miłość płynąca przez twoje żyły nasieniem jest i kwiatem i owocem.

C IENŃ KOBIETY

Na język, jeszcze nie do końca przeze mnie opanowany, od razu tłumaczę to, co wsadziłaś mi głęboko w szpik kostny: kadencję krzyku sięgającego serca, podziemny hałas metra, nawy kościelne bez ołtarzy, bogów mamroczących w lędźwiach. Ty: wstałaś

z muszli, jako kruche arcydzieło w piecach szklarzy. Dałaś mi poznać trwogę i pokorę w obliczu ewangelii wymagającego proroka. I wolność saren w pędzie przez niebiańskie pola, pogrążone w snach. Nie osiągnę ich bez ciebie.

Słyszę pękające kasztany na tarasach rodzimej wsi. Asfalt stygnie. Nic mnie nie obchodzi. Wolę drzeć w rozkoszy jak dom przed renowacją, gdy intonujesz pieśń, której nikt

jeszcze nie zna. W najtrudniejszej godzinie dnia objawiasz mi alfabet wiatru i losu i nasion. Rozpoznaję plamy w piwnicy i przeczuwam, że tam będzie mój dom, gdzie ty wyznaczysz granice dzikiego ogrodu.

Przełożyła Katarina Šalamun-Biedrzycka

Several hours later, sitting across the table at Marion's, I recalled in a rush exactly what it was that I liked about him the first time around. He had short-cropped black hair, eyes that were playful and sad at the same time, a nose that would have been aquiline except for the slight Slavic twist at the end of it, and a short scar above his right eye that erased about a third of his eye-brow and gave his face an appealing asymmetry. He was not a large man, but what he lacked in size he made up for in sheer energy and self-confidence. He was completely and utterly full of himself, and yet the same quality that was unbearable, I knew from experience, in an investment banker, seemed almost endearing in a poet.

The first thing Aleš did that night – and in retrospect I recognize it as the first of many things he would do to discourage me, to divert our shared fate – was go all cocky and macho and politically incorrect on me. He told me that the reason it had taken him three weeks to call was that he had collected other numbers at the party and that he had called them first, thinking that they would be less complicated than me, less of a challenge. One was considerably younger and the other considerably older. It confirmed what I'd already guessed about him: that he had methods of breaking the monotony of drafting a dissertation on social thought. That he got around. He bedded women.

At that moment, I didn't care.

Over dinner he told me the names of his poetry collections – *Anxious Moments*, *Chronicle of Melancholy*, *Dictionary of Silence* – and said that he was not a romantic poet but a melancholy one. He didn't write about love but about existential anxiety, that indeed melancholy and existential anxiety were pervasive and persistent conditions not only in his soul but in the soul of his country.

"Everyone in Slovenia falls victim to melancholy," he said, "especially during the long winter months. Slovenia competes," he continued with

a perverse sort of national pride, “with Hungary for the highest per capita suicide rate in the world.”

“Well, it can’t be too hard,” I parried, “with such a small population.”

And yet the Slovenian sitting across the table from me did not seem particularly melancholy at the moment. To the contrary, he looked sly and self-satisfied, like a cat perched on a tree branch, contemplating a small snack-sized bird on a lower branch. I assured him that I, along with everybody else in New York, had read *The Unbearable Lightness of Being*, seen the movie, adored Milan Kundera and Daniel Day Lewis, and knew all I needed to know about melancholy and existential anxiety and woma-nizing being pervasive and persistent conditions in communist and now postcommunist countries.

“Not much else to do there, I suppose. Here we actually have to work for a living.”

“There’s an old saying in my country,” he said, suddenly changing both the subject and his tone of voice. “It goes like this: *zarecenega kruh se najvec poje.*”

I can no longer recall how that phrase sounded to me then when I first heard it, how it appeared floating before my mind’s eye, how I imagined the sentence might be broken into words, the words broken into letters. I could master my dinner companion’s first name and, with a little difficulty, his last, but this saying sounded like nothing more than a tumult of undifferentiated syllables. And yet I do recall thrilling to the sound of such an unfamiliar language, wanting to hear it again and again. Unlike most European languages, it evoked a place that was actually unknown to me: a real *terra incognita*. The sound of the words, the hard consonants, the way he ran them together in a staccato blur all seemed to confirm that this man was like no one else I’d ever met before.

“What dose it mean?” I asked.

“It’s hard to translate, like a lot of things are hard to translate.”

“Try me,” I persisted.

“Well,” he paused, “it means something like: you always eat the bread that you’ve forbidden yourself.”

“Oh,” I said, and sent a wicked smile across the table. We were still playing games, I thought. “Here we call it forbidden fruit. But then we didn’t have food shortages.”

“I’m serious,” he said. And he looked serious, even a bit melancholy after all, not playful or predatory anymore.

“It means that you always end up doing what you say you won’t do. But I’m not going to end up doing that. I’m going home in three months’ time. To Slovenia. It’s a new beginning over there, and I’m going to be part of it. So don’t get any ideas about me. We’re just having dinner.”

*L*ATE FALL

Winter has laid its assumptions across the cityscape
and countryside, passed its innuendo through October –
seeping into the sharp twang of wind
and strips of railroad.

It has warned of its presence
in short felt shots of snowfall, duo's and trio's
sustaining routine in dusky bars,
where weeks before lovely life lingered

in numbers, slipping through
the nighttime and resurfacing in pale mornings,
drunk on the tonic of the moon's pull.
Most obvious is the river's step into slumber,

snaking through gunnels and pipelines and tunnels
to oceans unseen. The water's waist
is already adopting the mindset of a frosty climate –
bushes plaited with garbage, lined beside bridges

have shrunk to the soil – an icy film

of bare blue substance shakes upon it.
Seagulls and others are caught in smoke clouds
of freighters, and flee forth down the river.

Tapestries of brown leaves touch the texture.
A steady whisper assimilates conversations
in living places. Houses lay low and telephone wires
sleep in a standstill in the wake of approaching hibernation.

Like the last swings of a top's tango,
like the last spins of a moment's coin toss,
the stiff smell of an air sealed hospice,
like masters and masterpieces,

a silence of trepidation grows.

And now to you I simply say –
seize the day, the season!

Avoid the senseless art of futility,
an attempt to dodge life's simple inevitabilities,

and brace your bones for tomorrow's infant light.

PÓŻNA JESIEŃ

Zima narzuciła swoje założenia na krajobraz miasta
i wsi, swe insynuacje przepuściła przez październik
sącząc się w ostre ułkucie wiatru
i pasma szyn

Ostrzegła przed swoją obecnością
ledwie odczuwalnymi zastrzykami śniegu, duety i tercety
ćwiczą rutynowo nadal w ciemnych barach,
gdzie jeszcze parę tygodni wcześniej piękne życie przeciągało swój pobyt

tłumnie, wyślizgując się
nocną porą, by wypłynąć bladym porankiem,
pijane tonikiem przyciągania księżyca.
Najbardziej oczywiste jest zejście rzeki w sen,

wijącej się burtami, kanałami i tunelami
do niewidocznych oceanów. Talia wody
zaczęła już nabierać mentalności mroźnego klimatu –
krzewy oplecione odpadkami, ciągnące się wzdłuż mostów

skurczyły się do gruntu – drży na nich
mroźna powłoka nagiej niebieskiej substancji.
Mewy i inne ptaki złapane w kłęby dymu
statków lecą prosto w dół rzeki.

Gobeliny z brązowych liści dotykają fakturę.
Miarowy szept pochłania rozmowy
w siedzibach. Domy przycupnęły nisko a kable telefonów
śpią nieruchomo w ślad za zbliżającą się hibernacją.

Jak ostatnia figura tanga szczytu,
Jak ostatnie obroty rzuconej monety chwili,
stężała woń powietrza szczelnie zamkniętego hospicjum,
jak mistrzowie i arcydzieła,

narasta cisza niepokoju.

I mogę ci teraz po prostu powiedzieć –
Jesieni! Żyj każdym dniem!

Unikaj bezsensownej sztuki daremności,
nie próbuj wymknąć się prostym nieuchronnościom życia,

i przygotuj swe kości na niemowlęce światło jutra.

J RAINS

soldered together with wires and panels,
the containers follow their metal meridians,
tearing through deep-set slabs of landscape.

the containers screech and slow where the tracks
meet the platform and the rusted doors slide open-
the men, the limbs, the sweat,

the smell,
the smell,
that bursting, boiling smell

I
N MEMORY OF W. B. YEATS

I
He disappeared in the dead of winter:
The brooks were frozen, the airports almost deserted,
And snow disfigured the public statues;
The mercury sank in the mouth of the dying day.
What instruments we have agree
The day of his death was a dark cold day.
Far from his illness
The wolves ran on through the evergreen forests,
The peasant river was untempted by the fashionable quays;
By mourning tongues
The death of the poet was kept from his poems.
But for him it was his last afternoon as himself,
An afternoon of nurses and rumours;
The provinces of his body revolted,
The squares of his mind were empty,
Silence invaded the suburbs,
The current of his feeling failed; he became his admirers.
Now he is scattered among a hundred cities
And wholly given over to unfamiliar affections,
To find his happiness in another kind of wood
And be punished under a foreign code of conscience.
The words of a dead man
Are modified in the guts of the living.
But in the importance and noise of to-morrow

When the brokers are roaring like beasts on the floor of the
Bourse,
And the poor have the sufferings to which they are fairly
accustomed,
And each in the cell of himself is almost convinced of his
freedom,
A few thousand will think of this day
As one thinks of a day when one did something slightly unusual.
What instruments we have agree
The day of his death was a dark cold day.

II

You were silly like us; your gift survived it all:
The parish of rich women, physical decay,
Yourself. Mad Ireland hurt you into poetry.
Now Ireland has her madness and her weather still,
For poetry makes nothing happen: it survives
In the valley of its making where executives
Would never want to tamper, flows on south
From ranches of isolation and the busy griefs,
Raw towns that we believe and die in; it survives,
A way of happening, a mouth.

III

Earth, receive an honoured guest:
William Yeats is laid to rest.
Let the Irish vessel lie
Emptied of its poetry.

In the nightmare of the dark
All the dogs of Europe bark,
And the living nations wait,
Each sequestered in its hate;

Intellectual disgrace
Stares from every human face,
And the seas of pity lie
Locked and frozen in each eye.

Follow, poet, follow right
To the bottom of the night,
With your unconstraining voice
Still persuade us to rejoice;

With the farming of a verse
Make a vineyard of the curse,
Sing of human unsuccess
In a rapture of distress;

In the deserts of the heart
Let the healing fountain start,
In the prison of his days
Teach the free man how to praise.

P

AMIEŃCI W. B. YEATSA

I

Zniknął w martwocie zimy:
Potoki zamarzły, lotniska niemal opustoszały,
I śnieg zniekształcił publiczne pomniki;
Rtęć zapadła w ustach umierającego dnia.
Na jakie narzędzia zgodziliśmy się –
Dzień jego śmierci był ciemnym, chłodnym dniem.

Z dala od jego choroby
Wilki przebiegały wiecznie zielone lasy,
Gburowatej rzeki nie kusiły modne przystanie;
Języki żałobne
Śmierć poety trzymały z dala od jego poematów.

Lecz dla niego było to ostatnie popołudnie we własnej osobie,
Popołudnie pielęgniarek i plotek;
Prowincje jego ciała zbuntowały się,
Place umysłu opustoszały,
Cisza najechała przedmieścia,
Prąd zmysłów ustał; stał się swymi wielbicielami.

Teraz jest rozrzucony między setką miast
W całości poświęcony nieznanym uczuciom,
Aby odnaleźć szczęście pośród innych lasów
I być ukaranym obcym kodem pojęć.
Słowa martwego człowieka
Zmieniają wnętrza żyjących.

Lecz w doniosłości i hałasie jutra
Kiedy brokerzy ryczą niczym bestie na deskach Giełdy,
A biedni mają cierpienia, do których są szczerze
Przyzwyczajeni,
I każdy w duchu jest niemal przekonany o swej wolności,
Parę tysięcy pomyśli o tym dniu
Jak o dniu, w którym ktoś inny dokonał po trosze, czegoś
niezwykłego.
Na jakie narzędzia zgodziliśmy się –
Dzień jego śmierci był ciemnym, chłodnym dniem.

II

Byłeś głupi jak my; Twój dar przetrwał wszystko:
Względy bogatych kobiet, cielesne obumieranie,
Ciebie. Szalona Irlandia rzuciła Cię w poezję.
I zachowała swą pogodę i szaleństwo,
Bo nic się nie zdarza za sprawą poezji; ona trwa
W dolinie własnych dzieł, gdzie dekret
Nie zechciałby manipulować, płynie na południe
Z rancz izolacji i ruchliwych pogrzebów,
Surowych miast, w których wierzymy i umieramy; ona trwa
Jak usta, sposób zdarzania się.

III

Ziemia swego gościa skrywa
William Yeats tu odpoczywa.
Niech irlandzki okręt leży
Opróżniony z swej poezji.

Skryte koszmarem ciemności
Wszystkie psy Europy wyją,
A narody wyczekują,
Podzielone nienawiścią;

Intelektualna hańba
Z każdej ludzkiej twarzy gada,
I żałoby leży morze
W każdym oku, skute lodem.

Prowadź nas, prowadź ochoczo
Do samego jądra nocy,
Swym głosem niepowstrzymanym
Prowadź wciąż, w radosne tany;

Wersów rzędy uprawiając,
Winnicę z przekleństwa mając,
Śpiewaj ludzkie niespełnienie
Z rozpaczliwym uniesieniem;

Niech stanie w pustyniach serca
Fontanna uzdrawiająca,
W klatce dni, jak ma schlebiać,
Naucz wolnego człowieka.

*F*INISHED

I'm out of luck again
And out of inspiration,
And Lenin is on his train
To the Finland station.
He knows what he's doing
He knows what's to be done,
And here I am still
Standing on the platform.

*

I feel the lure
Of the suburbs calling,
To be simple to be wise
A bartender – pretender
Living out his life
Without a hope or a prayer,
Season by season,
Here now invincibly
Without rhyme or reason.

But the rhyme and reason
Keep the locomotives coming.
And the need to arrive somewhere
Goes ahead of everything

The young poet
Walking out
Into the Finnish lake,
Another in the mental asylum
Too early far too late,
One I admired counting out
His final days in cigarettes.
And my mentor buried alive each night
Recalling it all in the morning...

And then it hits me like a train:

If everyone heads nowhere
Why am I so jealous?
What is the hurry to win?
Life is not a race across a field
Or a script being written by God,
There is no rhyme or reason
But the luggage you bring
When the train has already
Pulled out of the station.

*

It doesn't end;
The light-bulbs to be changed. Bed mites
In my pillow. Tides milling the shore.
They never end.
Car hire lease payments.
The fatuousness of fame. Replication of
Cancer cells. The best dying young:

The worst getting their own
Newspaper columns. Summer nights heavy
With the smell of bad barbecues:
Autumn with diesel, spring with cocaine.
It never ends. Idiots in the chancellery. Control freaks
In their driving seats. The plunder of the forests.
The selfishness of plankton. Suspicious border guards.
The questions and evasions.
Insects thriving. Continents colliding.
Mothers screaming at their kids.
Lovers arguing in the streets....
They will never end.

But this
At least
Is finished.

In Memoriam Tony Judt 2009

S KOŃCZYŁO SIĘ

Znów nie mam szczęścia
brak mi natchnienia
A Lenin siedzi w pociągu
w drodze na Dworzec Fiński.
Wie, co robi
Wie, co zrobić należy,
A ja tu nadal
Stoję na peronie.

*

Nęci mnie
Zew przedmieść
Być prostym być mądrym
Barmanem – pretendentem
Przeżywającym życie
Bez nadziei czy pacierza,
Miesiąc za miesiącem,
Tu i teraz, niezłomnie
Bez rymu i przyczyny.

Ale dzięki rymowi i przyczynie
przybywają lokomotywy.
I ta potrzeba by gdzieś dotrzeć
Silniejsza ponad wszystko

Młody poeta
Wychodzi
Wprost do fińskiego jeziora,
Następny w szpitalu psychiatrycznym
Za wcześnie nazbyt późno,
Ten, którego podziwiałem odliczającego
Swoje ostatnie dni papierosami
I mój mentor zakopywany żywcem co noc
Przypominam sobie to wszystko rano...

I nagle uderza mnie niczym pociąg ta myśl:

Jeśli wszyscy zmierzają donikąd
Dlaczego jestem aż tak zazdrosny?
Po co ten pośpiech po nagrodę?
Życie to nie wyścig na przelaj
Ani scenariusz pisany przez Boga
Nie ma rymu ani przyczyny
Oprócz bagażu, który niesiesz
Gdy pociąg już
Odjechał ze stacji

*

To nie ustaje;
Żarówki trzeba wymienić. Łózkowe roztocza
W mojej poduszce. Fale mielą wybrzeże.
Nigdy nie ustają.
Opłaty za wynajem samochodów.
Głupota sławy. Rozmnażanie się
Komórek raka. Najlepiej umierać młodo:
Najgorsze dosięga swoich
Szpalty gazet. Ciężkie letnie noce

Zalutujące kiepskim grillem:
Jesień dieselem, wiosna kokainą
Nigdy to nie ustaje. Idioci w kancelariach. Maniacy rządzenia innymi
Za kierownicami samochodów. Rabunek lasów.
Egoizm planktonu. Podejrzliwi pogranicznicy.
Pytania i uniki.
Plenienie się insektów. Zderzanie kontynentów.
Matki krzyczące na dzieci.
Kłótnie kochanków na ulicach....
Nigdy nie ustaną.

Ale to
Przynajmniej
Skończyło się.

Pamięci Tony'ego Judta 2009



AFE EUROPA KRASNOGRUDA, ALEŠ DEBELJAK

My strongest memory of Aleš is a moment without him. It was in Barcelona, after midnight, and I was on my own, in the backseat of a taxi, on my way back to the hotel. The driver had rolled up the windows; it was a chilly December night. Outside, I saw the city lights drifting by, rising and falling like comet tails – a calligraphy in red, yellow and violet.

Earlier that night, we had worked our way through a Cafe Europa session on the change in society's attitude towards literature, as part of the Kosmopolis festival at the CCCB arts centre. The building, with its diagonal frames of glass and steel wrenched into this quiet corner of the age-old city, felt rigid and imposing. The interior of our space was a feeble attempt at creating the atmosphere of the Central European coffeehouses of days long gone. We sat around iron tables lit by electric candles. The year was 2002 and society's attitude towards anything, let alone literature, was changing viciously. Our program was driven by the nervous energy of our host, the Albanian writer and translator Bashkim Shehu, who excelled in giving you the awkward feeling that you were a protagonist in an essay he would much rather write in solitude, instead of having to translate it into a live program with a real audience and speakers who invariably messed up the concepts he so desperately wanted to articulate himself. The speakers this time were Czech, Catalan, Dutch – and Aleš, who seemed to bask in this tangle of languages, hasty translations and a theme that darted around the room like a bird crashing into window panes in its frenzy to find a way out.

Afterwards, we headed out in search of a bar. I was agitated, Aleš was smiling. The streets of Barcelona suited him. City streets spoke to him, a man of letters, in stories of revolution, science, art and moments of individual sacrifice. He read the streets like an encyclopedia. And the more the

lemma's contradicted each other and pointed in different directions simultaneously, the more he felt at home. His view of history was not the long and winding road. To Aleš, history was a matter of junctions, crossroads, traffic jams and street parties.

We found a bar. We piled our books, glasses and cigarettes on the counter. We drank Licor Cuaranta Y Tres. It was sweet and strong and it sharpened our senses. We gulped down the small glasses as if we were in a hurry to clean up whatever time and distance lay between us. How well did I know this man with the glint in his eyes and the well-trimmed stubble of an Italian actor in arthouse movies where the bookish guy gets the prettiest girls? Not very well, really, but he skipped the gaps in my knowledge of his poetry and dove right into the territory he knew I was more familiar with: the Yugoslav Atlantis. The voices of a lost country that bred dissent as much as brotherhood & unity, voices that searched a balance between defiant autonomy and nostalgia for a community that had seemed within reach, voices that now drifted across the continents.

Some years later, he would write this paragraph in which he forges all those scattered streets, languages and desires into one stunning image:

I am a child of the Yugoslav Atlantis, a large family with many members that comprise the pieces for a portrait of a lost civilization: a corner of Zagreb's Tresnjeva neighbourhood in Seattle and a bar stool from Sarajevo's Mudrac Bar in Washington DC, a coffee cup from a Zemun café in Calgary, and reflections of Ljubljanica River under the bridges spanning the Amsterdam canals, gentle slopes of Fruska gora in Chicago's black ghetto, and the sunlight rising above Sibenik and swirling around the base of the Eiffel Tower before disappearing into the gap between testimony and vision.

Somewhere along all those stories and glasses of liquor, he slipped me a small cube of hashish. He wasn't going to take it across the border the next day. I placed it on my tongue and started chewing on it slowly. It was years ago since I had last done this, and I vaguely enjoyed the taste. Aleš kept talking, cheerful one moment, bitter the next. Gradually, I really began to understand what he was trying to tell me. I was captivated by the wealth of every detail – although halfway through his stories I couldn't, for the

life of me, have reproduced where they had ever begun, and I marveled at his ability to string out these sentences that extended for what must have been over twenty minutes without even nearing the end.

By the time we hugged and said goodbye, some time later, I thanked him from the bottom of my heart for taking me down into the depth of his Atlantis. He grinned and walked away. I waved down a cab.

The city lights drifted by without a sound. And although Aleš wasn't there anymore, his stories stayed with me. I stared at the calligraphy in red, yellow and violet, floating past us in the dark of night. As the taxi inched its way along the quiet streets, at an almost pedestrian pace, the illuminated script slowly started making sense. Letters became words and words became sentences. Out there in the night, stories unfolded of the scattered lives that Aleš had been telling me about. I read about people shot in the snow as they tried to escape from Sarajevo across Mount Igman, about huddled masses in the blistering sun at the border between Kosovo and Macedonia, about Afghan families being dragged out of their car at checkpoints, trying to get from Kandahar to Iran. I read about lonely arrivals in apartments with no furniture and endless walks through streets of alien cities. The stories crawled into the car and I was beginning to feel cold and unsafe, when I saw a blinding beam of light through the window, shining upwards to the majestic figure of Columbus, standing high above us on his pillar, his arm raised and pointing towards America.

What did this mean? Why were we driving around his plaza at the very moment that the city lights were telling me stories of the homeless and the wanderers? What was Columbus trying to say to me? And why was the taxi driver taking me on this infinitely slow spin around his statue? The car was hovering in a wide circle, almost coming to a standstill. By the time I was convinced he was back at the beginning and about to drive around the monument again, I knew for certain that he was playing a dark game with me. I leaned over and said, in a voice that was meant to sound deep and threatening: How far is it to the hotel? He barely looked around, shrugged and took a right.

The next morning: headache and hangover. The morning papers were full of bad news. Aleš had caught his plane. And I struggled to make it to the airport on time, to catch my own.

Today, we still live in a world of scattered voices. Aleš was right: history has always been and will remain a tale of crossroads and junctions. In the meantime, the Bosnian generation has been succeeded by the Syrian generation. Again, wanderers walk the streets of alien cities. Take this friend of mine, Ghayath Almadhoun, a Palestinian-Syrian exile in his thirties, a big man with gentle eyes, possibly the greatest poet of his generation, living in Stockholm now and cursing the long, dark winters. He introduced himself a couple of years ago with *We*, a bitter piece of irony that begins like this:

We, who are strewn about in fragments, whose flesh flies through the air like raindrops, offer our profound apologies to everyone in this civilized world, men, women and children, because we have unintentionally appeared in their peaceful homes without asking permission.

Last month, Ghayath was in Amsterdam, for a talk on war and poetry in our beautiful public library. It was the first sunny day of spring and he was enjoying the light that danced across the canals. On stage, he was eloquent and sharp. All poetry is political, he said, as soon as it deals with its surroundings, be it the green trees of Sweden or the destruction of his hometown Damascus.

Afterwards he stood in the bright foyer, surrounded by friends. I was chatting with someone, a few meters away, my back turned to him. Suddenly, I hear a whimpering, like that of a child surprised when it's bumped its knee. I turn around and see the big man collapse, cellphone at his ear. The whimpering has become a howl. A hush falls over the library foyer. People stare in our direction to see what's going on. Friends kneel down beside him. How small his face has become, his large body sprawled across the floor, his green eyes looking helplessly around. My brother, he sobs, my brother is dead. Fuck Assad. My brother.

His younger brother Ghassan had been a fighter in the Islamic resistance since the beginning of the war. Wounded severely in 2012, he got married,

had a baby girl, and then returned to the frontline. This morning, he has been shot in an attack on Assad's troops.

After a while, Ghayath got up. We took him outside. We drank beer on the terrace, while he cried because he did not know how to call his mother, who was still in Dar'aa. The sun set on this first day of spring and not much later, the city lights were blinking all around us. Telling us stories of the homeless and the wanderers, the victims and the survivors. I remembered the lines that Aleš, the poet who is no longer with us, wrote after the last war that scattered people in all directions:

Channeling the delirious vows of strangers, the century's bodies and souls, into the aqueduct of language: I know in my blood that this is not in vain.



AFÉ EUROPA KRASNOGRUDA

Moje najsilniejsze wspomnienie Aleša związane są z chwilą, gdy go przy mnie nie było. Było to w Barcelonie, po północy, siedziałem sam na tylnym fotelu taksówki wracając do hotelu. Taksówkarz zakręcił okna; była zimna, grudniowa noc. Na zewnątrz widziałem przesuwające się światła miasta, w górę i w dół, niczym ogony komety – czerwone, żółte i fioletowe kaligrafie.

Wcześniej tego wieczoru, przebrnęliśmy przez sesję Café Europa na temat zmian w podejściu społecznym do literatury, części festiwalu Kosmopolis w centrum kultury CCCB. Jego budynek ze swoimi ukośnymi ramami ze stali i szkła, wciśnięty w zaułek starego miasta, sprawiał wrażenie sztywnego i przytłaczającego. Jego wnętrze było kiepską próbą odtworzenia atmosfery dawnej, środkowoeuropejskiej kawiarni. Siedzieliśmy przy żeliwnych stolikach oświetlonych światłem elektrycznych świec. Był rok 2002, czas gdy stosunek społeczeństwa do czegokolwiek, nie tylko literatury, podlegał drastycznym zmianom. Nasz program napędzany był nerwową energią naszego gospodarza, albańskiego pisarza i tłumacza Bashkima Shehu, którego specjalnością było wytwarzanie w publiczności niewygodnego uczucia bycia bohaterem jego własnego eseju. Eseju, który wolałby on napisać sam w samotności, raczej niż przekładać go na żywo przy prawdziwej publiczności i mówcach stale mieszających pojęcia, które on desperacko pragnął wyrazić. Prelegenci tej edycji pochodzili z Czech, Katalonii i Holandii – a Aleš, który wydawał się rozkoszować tą językową mieszanką, pośpiesznymi tłumaczeniami i tematem, który wydawał się przelatywać przez pokój niczym ptak odbijający się od okien w desperackiej próbie wydobycia się na zewnątrz.

Po zakończeniu, udaliśmy się na poszukiwanie baru. Byłem podekscytowany, Aleš uśmiechał się. Ulice Barcelony pasowały mu, przemawiały do niego, literata, opowieściami o rewolucji, nauce, sztuce i o chwilach osobistych poświęceń. Czytał je niczym encyklopedię. A im bardziej sprzeczne z sobą i wiodące jednocześnie w różnych kierunkach były tematy, tym bardziej czuł się z tym w domu. Jego pogląd na historię nie wiódł długą i krętą ścieżką. Dla Aleša historia była kwestią skrzyżowań dróg, korków i ulicznych biesiad.

Znaleźliśmy bar. Ułożyliśmy na kontuarze nasze książki, okulary i papierosy. Piliśmy Licor Cuaranta Y Tres. Był słodki, mocny i wyostrzał nasze zmysły. Opróżnialiśmy duszkiem małe kieliszki jakby nam było spieszone skrócić czas i dystans jaki nas dzielił. Czy dobrze znałem tego człowieka z jego błyskiem w oku, dokładnie przystrzyżonym kilkudniowym zarostem włoskiego aktora niszowych filmów, w których mól książkowy wyrывa najładniejsze dziewczyny? Tak naprawdę, to nieszczególnie, ale on wybaczył mi luki w znajomości swojej poezji i zanurkował od razu w obszary dobrze mi znane: w jugosłowiańską Atlantyde, głosy kraju utraconego, które wzbudzały zarówno niezgodę, jak i braterstwo i jedność. Głosy, które poszukiwały równowagi pomiędzy buntowniczym pragnieniem autonomii a nostalgią za społecznością, która kiedyś wydawała się w zasięgu ręki, głosy, które teraz niosły się przez kontynenty.

Kilka lat później napisze akapit, w którym stopi wszystkie te rozproszone ulice, języki i pragnienia w jeden zachwycający obraz:

Jestem dzieckiem jugosłowiańskiej Atlantydy, dużej rodziny składającej się z wielu członków, której elementy tworzą portret zaginionej cywilizacji: róg zagrzebskiej dzielnicy Trešnjevka w Seattle i stołek z sarajewskiego baru Mudra w Waszyngtonie, filiżanka kawy z kawiarni Zemun w Calgary i refleksy rzeki Ljubljanica pod mostami amsterdamskich kanałów, łagodne stoki góry Fruska w czarnym getcie Chicago, i blask słońca wschodzącego nad Sibenikiem, który wiruje u podnóża wieży Eiffla nim zniknie w szczelinie pomiędzy świadectwem a wizją.

Gdzieś w trakcie, pomiędzy opowieścią i kieliszkami likieru, wsunął mi do ręki małą kostkę haszyszu. Nie miał zamiaru zabierać jej następnego

dnia z sobą za granicę. Położyłem ją na języku i zacząłem pomału żuć. Lata całe już upłynęły od momentu, gdy robiłem to ostatni raz i umiarkowanie delektowałem się tym smakiem. Aleś mówił dalej, w jednej chwili wesoły, zgorzkniały w drugiej. Stopniowo zacząłem rozumieć, co chciał mi powiedzieć. Urzeczony byłem bogactwem każdego szczegółu – choć w połowie jego opowieści nie byłem za nic w stanie zapamiętać jej początku. Podziwiałem jego zdolność wiązania zdań w łańcuchy, które rozbudowywał, jak się wydaje, już od dwudziestu minut, ciągle nie przybliżając nas do końca opowieści.

Jakiś czas później, kiedy zegnaliśmy się obejmując się, podziękowałem mu z głębi serca za umożliwienie mi zajrzenia w głąb Atlantydy. Uśmiechnął się szeroko i odszedł. Machnąłem na taksówkę.

Światła miasta przepływały bezdźwięcznie. I chociaż nie było już Aleša, jego opowieści mnie nie opuściły. Wpatrywałem się w czerwone, żółte i fioletowe kaligrafie przepływające obok nas w ciemności nocy. Gdy taksówka sunęła powoli cichymi ulicami, jadąc niemalże w tempie pieszego, podświetlane napisy powoli zaczęły być czytelne. Litery łączyły się w słowa, a słowa w zdania.. Tam, głęboko w nocy, odsłoniły się przede mną porzrzucone losy, o których opowiadał mi Aleś. Czytałem o ludziach zastrzelonych w śniegu, w czasie próby ucieczki z Sarajewa przez górę Igman, o masach stłoczonych w palącym słońcu na granicy Kosowa i Macedonii, o afgańskich rodzinach starających się dotrzeć z Kandaharu do Iranu, wywlekanych z samochodów na punktach kontrolnych. Czytałem o samotnych powrotach do mieszkań pozbawionych mebli i niekończących się wędrówkach ulicami obcych miast. Historie te wdzierały się do taksówki i zacząłem czuć zimno i tracić poczucie bezpieczeństwa. Przez okno zobaczyłem wtedy oślepiający snop światła skierowany w górę na majestatyczną postać Kolumba, stojącego wysoko na swojej kolumnie z uniesioną ręką wskazującą Amerykę.

Cóż to miało znaczyć? Dlaczego jeździliśmy wokół tego placu w momencie, gdy światła miejskie opowiadały mi historie bezdomnych i tułaczy? Co Kolumb chciał mi powiedzieć? I dlaczego taksówkarz jechał dookoła pomnika tak niesamowicie wolnym tempem? Samochód zatoczył szerokie koło i niemal się zatrzymał. Gdy w końcu doszedłem do przekonania,

że wróciliśmy do punktu wyjścia, i że znowu ma zamiar zatoczyć kolejne koło, byłem pewien, że toczy ze mną jakąś brudną grę. Wychyliłem się i powiedziałem, głosem, który miał zabrzmieć głęboko i agresywnie: Jak daleko jeszcze do hotelu? Ledwie spojrzał za siebie, wzruszył ramionami i skręcił w prawo.

Następnego ranka: ból głowy i kac. Poranne gazety pełne były złych wieści. Aleś już odleciał. A ja musiałem się wysilić by zdążyć na lotnisko, żeby złapać mój własny lot.

Żyjemy dziś w świecie rozproszonych głosów. Aleś miał rację: historia zawsze była i będzie opowieścią o skrzyżowaniach i rozjazdach. W międzyczasie, pokolenie Bośni zostało zastąpione pokoleniem Syrii. I znów tułacze przemierzają ulice obcych miast. Weźmy na przykład mojego znajomego, Ghayatha Almadhouna, trzydziestoletniego syryjsko-palestyńskiego uchodźcę, barczystego mężczyznę o łagodnych oczach, prawdopodobnie najlepszego poetę swego pokolenia mieszkającego w Sztokholmie i przeklinającego długie, ciemne zimy. Przedstawił mi się kilka lat temu per My, z gorzką ironią, która brzmiała mniej więcej tak:

My, których porzrucano we fragmentach, których ciało unosi się w powietrzu jak krople deszczu, wyrażamy nasze najgłębsze przeprosiny wobec wszystkich w tym cywilizowanym świecie, mężczyzn, kobiet i dzieci, za to, że przypadkowo zjawiliśmy się w ich spokojnych domach bez pytania o pozwolenie.

W zeszłym miesiącu Ghayath był w Amsterdamie wygłosić prelekcję o wojnie i poezji w naszej pięknej bibliotece publicznej. Był pierwszy dzień słonecznej wiosny, cieszyło go światło słońca tańczące na kanałach. W czasie występu był elokwentny i dowcipny. Wszelka poezja staje się polityczna, mówił, z chwilą, gdy odnosi się do swego otoczenia, czy to będą zielone drzewa Szwecji, czy zagłada mojego rodzinnego Damaszku.

Wkrótce potem stał w jasnym foyer, otoczony przez przyjaciół. Rozmawiałem wtedy z kimś, kilka metrów od niego, odwrócony do niego tyłem. Nagle usłyszałem jęk, jakby dziecka zaskoczonego tym, że zraniło się w kolano. Odwracam się i widzę potężnego mężczyznę opadającego na podłogę, ciągle z telefonem komórkowym przy uchu. Jęk zamienił się

w skowyt. W bibliotecznym foyer zapanowała cisza. Ludzie zaczęli się na nas gapić, żeby sprawdzić co się dzieje. Znajomi przyklękają obok niego. Jego twarz skurczyła się, wielkie ciało leżało rozciągnięte jak długie, zielone oczy rozglądały się bezradnie wokół. Mój brat, wyszochał, mój brat nie żyje. Pieprzony Assad. Mój brat.

Jego młodszy brat Ghassan był bojownikiem islamskich rebeliantów od początku wojny. Ciężko ranny w 2012 roku, ożenił się, urodziła mu się córeczka, po czym wrócił na front. Tego ranka zginął zastrzelony w czasie ataku wojsk Assada.

Po chwili Ghayath podniósł się. Wyprowadziliśmy go na zewnątrz. Wypiliśmy piwo na tarasie, cały czas płakał, bo nie wiedział jak zadzwonić do matki, która została w Dar'aa. Zmierzch zapadł tego wiosennego dnia o tej samej porze co zwykle, światła miasta migotały wokół nas opowiadając nam historie bezdomnych i tułaczy, ofiar i tych, którzy przeżyli. Przypomniałem sobie fragment wiersza Aleša, poety, którego już z nami nie było, napisany po ostatniej wojnie, która rozproszyła ludzi na wszystkie strony.

Odprawdzam deliryczne przysięgi nieznajomych, ciał i dusz tego stulecia, w akwedukt języka. Czuję w głębi, że nie nadaremno.

G RAMMARTYRDOM

...has a nice day...
for Aleš Debeljak

has or have
hat or head
hathor eve
heart of herd
hardware nerd
chart dont hurt
tru hand art
trata tha
herratah
havraka -
davra na
z rana rum
in da bar
mourning star
rum and run
random run
artizan
to review
drum'n'bass
artist saint
hass to liebe
baba rybe
oh my heaven

high ajvaj
far away
in da bar
barbar bark
how to gou
search da ark
on my way
o ma hey
harp away
hey und ho
have a hard
art hattack
a day

D O UMARŁYCH

...a będąc po tamtej stronie po jakiej stronie właściwie teraz jesteście?
 Czy po tamtej stronie można na przykład walczyć po którejś ze stron,
 które podobno multiplikują się w nieskończoność na wszystkie strony? A jeżeli
 tak, to w jakich nieuchwytnych kohortach służycie? W jakich podczerwonych
 legionach? Dalekich czy niskich? W jakich ponaddźwiękowych eskadrach?
 Wysokich czy bliskich? W jakich watahach ognistych? W jakich humanitarnych
 dymisjach? Pustynnych czy płytkich? A może w pokojowych emisjach usypiacie
 demony wojny białym szumem nie ruszając się z miejsca? Choć może ruchy
 i miejsca, jakie tutaj znamy, po tamtej stronie nie istnieją? A może jednak będąc
 poza dniem i nocą nie sprzeciwiacie się złu przemocą? Może gardząc rozlewem
 krwi w stepie szerokim, w piasku głębokim, w mieście wysokim nie walczyacie
 po żadnej ze stron w strategiach referencyjności? Może nikomu nie wchodzić
 w słowo z bratnią pomocą, bo po tamtej stronie już nie ma braterstwa,
 nie ma więzów krwi? I nie ma też rozkoszy i udręki płci? Może już nie wiecie,
 co to krew? Nie wiecie, co to gniew, żądza, chciwość, nienawiść, co to zemsta?
 Ani z daleka ani z bliska gwałt już się na was gwałtem nie odciska?
 Bo już teraz, w najgłębszym, najjaśniejszym, wszechmogącym teraz,
 jesteście ponad jakiegokolwiek zaczepki tego najlepszego ze światów?
 Ponad jego brudne prowokacje, intrygi, interesy, korupcje, biznesy? Ponad
 narodowość, tradycję, prawo, państwowość, demokratyczne procedury,
 religię, wolnorynkowe bzdury, modę, kampanie marketingowe, energie czystego
 zysku
 i szybkiego seksu, dywersyfikację energetyczną, liturgię, ligę mistrzów, puchar
 świata,
 własny wizerunek, zrównoważony rozwój, postępy bezprzewodowych technologii,
 monitoring i szpiegostwo, obroty ruskiej ruletki, lifestylowe cyberataki, agresję

bez granic. Już nie musicie lądować na kometach ani tym bardziej na Marsie, żeby się dowiedzieć czegoś ciekawego o wszechświecie. Wy już o naszym wszechświecie wszystko wiecie i w gruncie rzeczy interesuje was on tyle, co zeszłoroczny śnieg. Już nie musicie mieć nawet zielonego pojęcia o wszystkich naszych sprawach dziennych i aferach nocnych. Bo już macie szczęśliwie za sobą egzekucje, nowotwory, wybuchy wulkanów, epidemie, powodzie, rzezie, głody, hekatombę, trzęsienia ziemi, holokausty. I teraz, w najjaśniejszym, wszechmogącym, wszechwiedzącym teraz, odpoczywacie już poza wszelkim podejrzeniem, poza naszym dobrem i naszym złem, poza naturą i kulturą, poza cywilizacją życia i cywilizacją śmierci, odpoczywacie w pokoju i w wiekuistej światłości różanopalcej jutrzeńki, za horyzontem zdarzeń przesłoniętym gęstym, szaroburym woalem pyłu, który jeszcze tymczasem po naszej stronie wgryza się w nasze oczy.

P

OHORJE

Our plan was idyllic: two poets walking in the mountains, traversing Slovenia. Aleš had proposed the journey in the winter of 1991. We were translating his new book, *Anxious Moments*, and the prospect of joining him that summer for a hike across the land described in his prose poems thrilled me. True, in his work were premonitions of impending disaster. He wrote of military convoys, destroyed villages, “phosphorous lighting the passion in soldiers’ eyes”-portents I dismissed as poetic images until Slovenia’s declaration of independence in June led to war. The week I was to fly to Ljubljana, the JNA bombed Brnk Airport, wrecking an Adria Airways Airbus; two Austrian photographers driving a jeep down the runway were blown up. We put off our trip for a year.

Now we stood at the base of a ski run in the Pohorje Mountains, adjusting our backpacks, impatient to begin our first trek. The bus from Maribor, Slovenia’s second city, an industrial center in the northeast, had let us out moments after the tram had left for the summit. I suggested we climb the steep trail to the ridge we would hike along for the next three days instead of waiting an hour for another tram: a foolish decision. On the hottest day of the century in Slovenia, at the edge of the Styrian valley, it was sweltering. For relief we talked about downhill skiing.

“We’ll know the end is here,” said Aleš, crossing the slope to head into the woods, “when Slovenians stop skiing in France, Austria, and Switzerland.”

A popular saying. Slovenians are a mountaineering people; ski racers are admired almost as much as poets, no small matter in a country that builds monuments to literary figures instead of military heroes. In the war’s aftermath, however, that saying had acquired more currency. Slovenia was Yugoslavia’s most prosperous republic, its social product roughly

five times as great as that of Kosovo. But independence had cost the new state its traditional Yugoslav sources of raw materials and markets for its finished goods, which amounted to nearly 60 percent of its exports. Effort to reorient the economy from a command structure to market conditions worsened the depression, lowering the standard of living. And the burden of caring for refugees from Croatia and Bosnia only added to the hardship. At least 100,000 Slovenians were out of work, though the government had yet to pass a privatization law and make deep cuts in state-owned industries. Thus Aleš's father was in danger of losing his job building laser sights for, among others, the Serbian tanks leveling Sarajevo. I could not imagine the damage those gunners might inflict once they stopped aiming.

We came to a clearing, sweating heavily. A ragtag unit of the new army jogged downhill.

"Are you hiking up?" cried a young soldier.

"If we can make it," said Aleš.

"There are two meters of snow up there," the soldier joked. "Take me with you!"

There was no snow this late in the summer. Like the Appalachians, the Pohorje are the eroded remnants of a much larger chain – in this case the Central Alps. Fifty kilometers long and rising only 1,500 meters above sea level, the crescent-shaped Pohorje range lies on the banks of the Drava River, a natural passage from the Carinthian basin to the fertile Pannonian plain, the country's agricultural heart. In 1960, half of the Slovenian population was agrarian; thirty years later, industrialization had reduced agriculture to 5 percent of GNP. But farming instincts die slowly. Aleš's parents, for example, like other villagers who moved to the city to find work, kept a garden near their apartment. In the countryside mixed households combined farm and factory work.

On the bus ride from Ljubljana I had observed that every available acre of land seemed to be under cultivation. Slovenians, said Aleš, are Catholic by religion, Protestant by work ethic. And private ownership of the land – the rule rather than the exception under the Communists – increased their diligence. Large white stuccoed houses with red-tiled roofs looked out over

cornfields and hops in rows of tall green tents like a bivouac: the “green gold” exported to American breweries. Near the ancient city of Celje were vineyards – almost half of Maribor lies above a vast win cellar – and the lower slopes of the Pohorje produce a Riesling nicknamed *ritoznojčan*, “the sweat of your ass.” Aleš remembered another saying: Only olive-growing regions are civilized – a slur against Serbia. The Serbs wage war, he said, because they need access to the sea and civilization.

The soldiers zigzagged down the slope, like ski racers on a dry-land slalom course, and disappeared around the bend. Brilliant – that was how Aleš described Tito’s decision to establish the Territorial Defense in which these soldiers learned their warcraft. “What a demonic genius! First he held us together all those years, then he gave us a guerrilla army to fight our way out.”

Into a stand of firs we trudged then up another hill to a restaurant on the ridge, where we refilled our water bottles and drank cartons of apricot juice. We would follow the Partisan courier route through the Pohorje, the first part of an elaborate trail-and-hut system crisscrossing the country, once used by peasants to escort Partisans through German-occupied territory. And it was here in the Pohorje that the first Americans to infiltrate the Third Reich coordinated the Partisan demolition of railroad tracks and tunnels leading to the strategically vital Ljubljana Gap, through which armies and traders since antiquity had traveled from the Mediterranean to Central Europe.

Exhausted, we hung our wet shirts to dry from the straps of our backpacks, laced up our boots, and headed west, past the first of many plaques commemorating Slovenian Partisans. Within minutes we had lumbered into a patch of red raspberries, and as the sweetness of the slightly overripe fruit exploded on my tongue, Aleš recalled the German minority in Maribor, merchants whose families had settled there in the sixteenth century. Hitler said, “Make this land German again” (though it had never been German), and Germanized the Slovenian place and family names. It was the same strategy used in the Sudeten, where the local Germans asked the Third Reich to “liberate” them, and ended just as miserably: with the Germans’

expulsion – a lesson lost on Milošević, at whose prompting the Serbian minorities in Bosnia, Croatia, and Kosovo now asked Belgrade to come to their defense.

The trail meandered through the woods along the ridge. In the shade we picked up our pace, and soon we came to an inn Partisans had burned down to keep the Germans from occupying it, one of more than a hundred operations undertaken in the Pohorje. The Axis aggressors, surprised at the ease with which they conquered the Royalist forces in April 1941 – routing the army in eight days, putting to flight Serbian King Peter and his government – divided up the country, with Germany controlling much of Slovenia and Serbia. Italy's holdings included Istria and Ljubljana, the Dalmatian coast, Montenegro, Albania, and Kosovo; Hungary retook its pre-1919 territories of Bačka and Baranja (both part of present-day Vojvodina, an autonomous province with a significant Hungarian minority in northern Serbia); and Bulgaria ruled over most of Macedonia. Yugoslavia's sovereignty, like the peace in Europe, had lasted less than a generation.

Of critical importance was the establishment of an independent Croatian state, *Nezavisna Država Hrvatska* (NDH), within the German sphere of influence. The ultranationalist Ante Pavelić, installed as head of a puppet government in Zagreb, and his fanatical supporters in the Ustaša movement attempted to annihilate Croatia's large Serbian population. Their formula: "Kill a third, convert a third [of the Serbian Orthodox Christians to Catholicism], expel a third." The Ustaše did not succeed in "ethnically cleansing" their land, though they put to death hundreds of thousands of Serbs, Jews, Gypsies, and other Croats. Their primitive methods embarrassed the Nazis – and inspired civil war throughout the occupied territories.

Historian Barbara Jelavich, noting the "importance of the Balkan tradition of resistance and the romanticization of the role of the guerrilla fighter and the bandit," suggests that "[f]rom the first days of the Axis occupation conditions in Yugoslavia were almost ideal for the formation of an armed resistance. The very swiftness of the war and the surrender meant that the country was never completely occupied, nor was it possible for the conquerors to collect and destroy all of the available arms. As a result, after the

armistice [of 17 April 1941], armed men without leaders were in ready supply.” In Serbia they formed Cetnik units loyal to the government in exile; elsewhere they became Partisans under the command of Tito, general secretary of Yugoslav Communist Party. The Allies recognized King Peter’s London-based government, but gave military assistance to Tito’s forces, which emerged as the strongest and best organized. The home armies fought a guerrilla war against the occupiers – and each other; Croats and Muslims often teamed up against the Serbs.

Partisan success, particularly in mountains of Bosnia and Montenegro, where they tied up several German divisions, convinced the Allies to support Tito. The Četniks under Serbian nationalist Draža Mihailović, who feared the Communists even more than the Nazis, turned from resisting the Nazis to fighting the Partisans; because Tito’s best troops were Serb who had escaped the Ustaša terror, Serbs were soon pitted against Serbs. Axis aggression thus provoked, and Allied strategy intensified, Yugoslavia’s civil war, in which over a million people lost their lives, most of whom, “must be reckoned active or passive victims of the policy of Partisan warfare,” military historian John Keegan writes. Indeed Tito rose to power, according to one biographer, “because of the carnage among the Yugoslavs.” After a show trial in 1946, Mihailović was executed for treason.

Reprisals from the occupying armies were common – and even courted, since the fear of atrocities served the resistance. “In war we must not be frightened of the destruction of whole villages,” said Edvard Kardelj, Tito’s deputy (and author of *The Slovene Nationality Question*). “Terror will bring about armed action.” There was good reason to be scared. In Croatia and Bosnia the Partisans launched offensives designed to draw retaliation from the Germans, while in Serbia the Nazis’ efforts to discourage guerrilla action could be summed up in a stark formula the Ustaše must have admired: one hundred hostages executed for each German killed, fifty for each wounded. No region was spared the occupiers’ wrath. (In the Pohorje, for instance, in January 1945 the Nazis hanged a hundred Slovenians in an apple orchard, a place known thereafter as the Hostages’ Avenue of Apple Trees.) In every part of Yugoslavia villagers fled into the woods, as

they had throughout their history, then struck at armies unprepared for irregular warfare, as well as at other villages.

Slovenian Partisan units, named after national literary figures like France Prešeren and Ivan Cankar, waged sporadic war against the Germans, Italians, and collaborators, betrayal being a popular form of expression in the Balkans. The Pohorje Battalion's downfall was a famous story of treachery. Organized in October 1942, this unit attacked the Germans and set fire to scores of alpine huts. After the New Year, the battalion was betrayed; twenty thousand Nazis surrounded seventy Partisans and killed them all, the last two shot out of trees, in the words of one writer, "like good-for-nothing squirrels." Thus the myth of the Pohorje as "the home of Slovenian freedom and resistance."

Nowhere is the relationship between history and mythology more unsettling than in the Balkans. A culture constructs its sense of itself according to stories rooted in history and transformed by artistic, psychological, and political necessities. In its poetry, fiction, and folklore a society creates a vision of itself distinct from the historical record. But what happens when mythology replaces history, child of the Enlightenment? The myth that every Partisan was a Communist, for example, was now being revised downward to suggest that fewer than 10 percent had pledged allegiance to Moscow. What was the truth? Difficult to say. And Aleš was not alone in blaming the Third Balkan War on Serbia's collective belief in dangerous myths articulated by its literary community.

"I don't know how to address the Serbian writers who used to be my friends," he said. "They were defeated at Kosovo. Six hundred years ago! So what do they do? Turn that loss into a national symbol, then use it to justify war. Who else would do that? A nation has to face up its evil side, or else it just reproduces it. Serbian writers – with very few exceptions – avoid dealing with what their government's doing in Bosnia. I certainly don't publish in Serbia anymore."

"That's why their war crimes must be prosecuted. Nuremberg gave the German people a chance to be de-Nazified. Serbs need their own Nuremberg, their own cleansing process."

Across the meadow was a church with a fresh coat of white paint bright as sunlight on snow, and I had to shield my eyes until we were past it. Through the dry grass and haze of high summer we marched, pausing regularly to change shirts and sip water until our water bottles were empty. Waning sunlight filtered through the trees. Bits of frog's silver, the local fool's gold, were scattered in the dirt. A blind snake wriggled across the path and, when it came to a rock, curled its ocher length into the shape of sickle blade. Three crones hauled buckets of raspberries past us. Catholic shrines and Partisan memorials, wooden crucifixes and stone plaques engraved with red stars, all blurred together.

By dusk the heat had let up, so we hiked down a steep hillside to see a towering waterfall: another bad decision. Hand over hand, I inched along the cables bolted into the rock wall, struggling to balance my heavy pack, my legs trembling. I was thirsty, hungry, worn out. And a mountain hut in which to spend the night was an hour away. But Aleš had found a reserve of energy. He slipped off his pack and scrambled across the fallen logs surrounding the pool at the base of the waterfall.

"You see why we're so proud of our land?" he cried, standing in the spray.

Night was falling fast when we regained the trail, a white gravel logging road that gave way to wheel ruts cutting across a meadow. Before we reentered the forest we passed a solitary homestead: two barns in a fenced pasture, stacks of firewood, a garden full of cabbages. The small house showed no sign of life. The wheel ruts became a muddy footpath; the woods were pitch-dark. We returned to the house, hoping to camp nearby.

The house was still dark when Aleš knocked on the door. Minutes passed before a young woodcutter in olive-green overalls came out. He was blond, blue-eyed, thin; his scraggly beard gave him a haggard look. Yes, we could spend the night. He led us to a pine grove above his pasture. On the soft needles we unrolled our sleeping bags, the woodcutter watching us closely. Aleš went with him to fill our water bottles at his spring. It was a long time before he returned.

"The poor guy has no one to talk to except his mother," said Aleš, climbing into his sleeping bag. "He wouldn't let me go."

A warm wind washed over us. A cowbell clanked in the meadow. We could dimly make out a woman leading a cow into the pasture. “That must be the man’s sister,” said Aleš. “She probably comes by every evening. Not much of a social life.”

Ten years ago, eight families had lived in the area; only the woodcutter’s remained. This homestead belonged to a time when it was possible to live off the woods – logging, hunting grazing, cultivating. But people from Maribor were buying these places for vacation houses. The woodcutter and his sister ventured down to the valley on a Moped only to buy olive oil and seasonings.

Where would they meet people their own age? I wondered.

“It’s almost impossible,” said Aleš. “Who wants to move to the mountains? If his sister’s lucky, she’s married to another logger.”

Geography is a better guide to destiny than character in the Balkans, where the vagaries of foreign occupation and rule have shaped the lives of ordinary men and women. The woodcutter’s fate was tied to the Pohorje; if his proved to be the last generation to live here, his family’s migration would be only the latest in a history of departures. Once inhabited by Celts (near Maribor is an archaeological excavation of an extensive Celtic settlement), this land is marked by those who believed the universe was governed by demonic powers. Trees are said to be sacred to Slovenians, as they were to the Druids who performed their ceremonies in groves like this one, where I was rolling over and over, trying to find a place to sleep among the rocks and roots.

What arboreal spirits the Slovenians inherited from their pagan predecessors now reside in their folk expressions and literature – in their language, that is. Peter Handke, a firm believer in literature as “the center of a people,” once said that “what is left behind is a history of words, in which words contain that which was and that which might have been.” Thus’ Aleš’s mother wanted him to marry “a girl born under the linden tree” – i.e. Slovenian – and in one of his poems a woman sang “sotto voce, splitting the trunks of pines, softening the shuddering hides of deer.” Both seemed possible.

There is nothing like a long hike in hot weather to sharpen your imagination. Stars filled the sky, and as I drifted in and out of sleep I saw dark shapes moving through the trees. Ancient spirits? No. Small deer roaming toward a lean-to hunters stocked with hay, the herd's winter provisions. A line from Wordsworth ran through my head: "there is a Spirit in the woods" – an idea perhaps occasioned by eighteenth-century excavations of Celtic settlements. Interest in things Celtic nourished Romantic poets; like the folklore collected by the Brothers Grimm (much of it based on Celtic lore), curiosity about Druidic practices fostered the return of magic into literature, unleashing new poetic energies in Wordsworth and Coleridge, Goethe and Novalis. And it was this underground tradition, coursing from medieval alchemists to the French Surrealists, that inspired me as a writer: poetic explorations of the dark and marvelous, that terra incognita mapped most brilliantly at the dawn of modernism.

But these poetic cartographers, Wordsworth in particular are better known for their praise of childhood, love of nature, and fascination with the French Revolution. Two hundred years ago, Wordsworth traveled on foot across France, rejoicing in that country's liberation from monarchical bonds. The poet gave himself over to what one critic calls "the movement of the spirit of a whole people." He saw the best and worst of the revolutionary urge fated to become the religion of the modern age, and then he wrote his masterpiece, *The Prelude*. His epic work on the growth of a poet's mind is at once a celebration of freedom and a cautionary tale about human folly; only his faith in nature and recollection of rapturous moments from a childhood saved him from despair at the mounting evidence of the Revolution's failures – the Terror, war between England and France, famine, suspension of civil liberties, the Pope crowning Napoleon Emperor, which Wordsworth memorialized in a startling fashion: "This last opprobrium, when we see a people/ ...take a lesson from the dog/ Returning to his vomit." Indeed "the degradation of the era" drove the radical poet into the Tory camp and dried up his inspiration, two facts that haunted me.

The cowbell clanked in the pasture. I rolled over onto my back and gazed at the stars. The warm wind reminded me of a sea breeze. I remembered

bodysurfing as a child—the blue swirl of the Atlantic, the taste of sand and salt as I tumbled in the surf – and how our family house was swept out to sea in a hurricane. That was the year of the Cuban missile crisis. And now that the Cold War was over we faced another historical watershed: the end of the modern age. In his *Prison Notebooks* Antonio Gramsci wrote: “The crisis consists precisely in the fact that the old is dying and the new cannot be born; in this interregnum a great variety of morbid symptoms appears.”

The new? For Aleš it meant addressing the Croatian poet Branko Miljković’s questions – “Will freedom know how to sing in the same way the slaves sang about it?” *Anxious Moments*, a product of his stay in America, offered a provisional answer. He believed his cycle of prose poems, completed more than a year before the JNA attacked Slovenia, was in some respects prophetic. “Don’t you think there’s a certain beauty,” one poem concludes, “in the way the distant glow of the fire – consuming villages in the south – trembles above the rolling hills, far from the town neither you nor i want to leave?”

“My writing,” Aleš once said, “is still very much affected by the fact that i come from a country that was constantly torn apart divided between many foreign masters, that never had the tradition of statehood. It was the language, the word, the writing, that allowed for the development of national as well as personal identity.” While American free verse and prose poetry pointed him toward his current work, he thought Central European poetry could be “a witness to current events, not by reflecting them in a straightforward manner, but by reshaping them, digesting them, and incorporating them into the perennial dilemma of humankind.”

That tradition fascinated me. Steeped in *The Prelude*, I imagined hiking across Slovenia as a scaled-down version of Wordsworth’s adventures in France. When I first met Aleš, the day after a crowd of East Germans had demolished the Berlin Wall, I discovered that we shared not only poetic interests but also a love of the wild, a passion kindled during our subsequent translation of *Anxious Moments*. Ours would be an excursion in nature, in the aftermath of another revolution. My friend liked to say that in Slovenia

man and nature have lived in harmony for more than a millennium. What does that mean? I wondered, trying in vain to identify the constellations overhead. As I dozed off I decided to interview the woodcutter, but when we awoke in the morning he was gone.

Once we started hiking, though, it felt as if we were tracking him, because at regular intervals along the trail we came upon neat piles of logs. A sizable part of Slovenia's economy involves woodworking enterprises, yet I saw no evidence of clear-cutting, in stark contrast to the forests of The American Northwest, where I was living at the time.

"We can't just cut down all the trees and move on," said Aleš. "We have to live here."

Slovenia was not spared the ecological consequences of Communist industrial policy: the air in its cities is polluted, its rivers and streams are fouled, its farmlands suffer from overuse of chemical fertilizers and pesticides, and acid rain endangers half of its forests. Yet in these woods I found signs of harmonious interaction with the earth: well-kept farms, hunters' lean-tos and the neighboring tree houses in which they wait for their prey, protected springs, holy shrines. High in the mountains there was even a stone church covered with scaffolding. The nave looked as if it had been dynamited; four masons were restoring the damaged walls. The government was working with the Church to refurbish crumbling parishes, hoping to bolster tourism. The Communists' anticlerical campaign had come to nothing: the faithful were returning to the fold, Christian politicians were gaining power, and the Church was quietly pressing its claim to more than half of the public lands. Had the last fifty years been an exercise in skepticism, and aberration for what might again become a religious country?

The Slovenians' conversion to Christianity in the eighth century (their golden age of "democracy") was instrumental in the development of their language, which one writer describes as "a weapon and tool of their national existence and survival." Pagan rebels were no match for German might and missionaries who translated the Lord's Prayer into Slovenian. A Protestant writer, Primož Trubar (1508-1586), inaugurated the Slovenian literary tradition with the publication in 1550 of *The Catechism*; thirty

years later, another Protestant, Jurij Dalmatin(1547-1589), published the first Slovenian Bible, which had the same impact on Slovenian literature that the King James Bible had on English writing, providing a language and context in which to work out one's destiny. Slovenians might turn to the Catholic Church again for instruction, but their language remained "a depository of all the care and fervor of the proponents of Reformation," as a nineteenth-century poet wrote.

By mid-afternoon we were slogging through an alpine bog. Among a score of pools and ponds were scrub pines, heather, water lilies, dragonflies called snake shepherds, a family gathering blueberries. From there we hiked through a meadow and out onto a logging road, where an old cowherd in a battered Yugo drove up to ask – in one of the more obscure of some forty Slovenian dialects – if we had seen his cattle. Barely able to understand him, Aleš shook his head. The cowherd drove away.

Up a last steep hill, through a copse of fir, we climbed to the tall Partisan memorial on top of Lake Peak, from which we saw more farms, meadows, mountains, and forests.

"Our Partisans were the last to join Tito's army," said my friend, changing his T-shirt for our final trek to the hut we would stay in that night. "And we were the first to leave his country."

The hut turned out to be a ski lodge with private rooms, an attic lined with bunk beds, and a restaurant with a bar. Over the sound system came a German version of Kenny Rogers' "Lucille"; the television in the bar was tuned to the government station, and the evening news was devoted to the war in Bosnia. The crowded room was silent. We ate a hearty beef and vegetable soup, washed down chunks of dark rye bread with beer, and viewed footage from the Serbian-run concentration camps – emaciated men behind a barbed-wire fence. The fighting in the Balkans, the commentator noted, had displaced two million people, 70,000 of whom were refugees in Slovenia. "The West wants to turn Slovenia into a cordon sanitaire," Aleš said when the news ended. "They'll give money, but they won't open their borders."

The television was switched off, and two middle-aged couples at the bar began to sing. They had hiked over from another hut an hour away because,

they said, it was too quiet there. They sang folk songs until well after dark, pausing to drink rounds of schnapps or to argue over the exact origin of a particular song. Did it come from this mountain village or that one?

Aleš glanced at the singers. “Their arguments are more serious than you might imagine.”

Minstrels, bards, and poets – they sing a country into being. In the eighteenth century the legends and tales, folk songs and poems passed down by Slovenians were collected – another Romantic project – into a book containing more than 8,000 text. The oral tradition helped preserve the Slovenian character in the face of foreign occupation and Germanization, a task continued in the literary world. (No wonder Prešeren inspired the Partisans.) In *The Songlines*, Bruce Chatwin’s brilliant book about the Australian Aboriginals’ ancient “Dreaming-tracks,” a character remarks that “[m]usic...is a memory bank for finding one’s way about the world.” And Chatwin wrote, “wherever men have trodden they have left a trail of song (of which we may, now and then, catch an echo).” Here was a Slovenian version of that trail. At nine o’clock the singers knocked back another round of drinks, then left, laughing and accusing one another of having forgotten their flashlight at the other hut.

That night we slept in the common room, surrounded by a dozen hikers, a novel experience for me. Not for Aleš. “You won’t believe what I’ve heard in these places,” he whispered. “Couples making love. Drunk throwing up! Little did my parents know what kind of education my sister and I would get when they first took us hiking.” In my narrow bunk I remembered something he said at dinner: “It’s impossible to understand this country without wandering around the mountains.”

Balkan history is the history of the woods. It was in another forest farther south – Kočevski Rog, where ethnic Germans (brought into the area by feudal lords in the fourteenth century) lived until Hitler ordered their emigration in 1941 – that the Partisans convened an assembly of delegates in 1943: Slovenia’s first national act. Kočevski Rog takes pride of place in Slovenian mythology, for good and ill. Headquarters of the Partisans, after the war it was also the site of terrible atrocities, when Tito ordered

the execution of thousands of Slovenian Home Guards (anti-Communists who sided with the Germans). They were some of the 250,000 Yugoslav-Slovenian collaborators, Ustaše, Cetniks – the Communists killed in mass shootings death marches, and concentration camps.

Their bodies were dumped into caves in Kočevski Rog, a fact kept secret during the Tito era because the forest was an important base for the JNA. In the Ten-Day War the Slovenian militia waged a major battle there; now the same forest houses units of the Territorial Defense. The history of Kočevski Rog, like that of the Pohorje and other Balka forests, is by turns heroic and horrible. In these places the Balkan peoples discovered what sociologist Liah Greenfield might call their “style of thought,” the culture expressions integral to their identity – song and story, religion and language, politics and war. Or so I imagined as I drifted off to sleep. In the morning, after breakfasting on fried eggs and sweet mountain tea, we set out for Slovenj Gradec, our final destination.

Down a winding trail we hiked to a clearing, where Aleš paused to listen to something. Two shirtless men off to our right were sharpening scythes.

“A sound I remember from my childhood,” he said. “These hills are too steep to cut with tractors, and no one can afford them anyway. The folk songs we heard last night are preserved by these kinds of laborers. Ten men will work the same field, and the strongest one will set the tempo with his singing. If you can’t keep up, you get ridiculed.”

This morning the peasants might have reserved their ridicule for us. We walked slowly through the meadow, through knee-high grass that had turned golden-brown. Aleš’s back was hurting, and my boots had bruised my ankles, I wondered if we would make it to Slovenj Gradec. Walt Whitman thought the body’s decay was poetry’s only subject – a theme I meditated on at length. The heat had not let up, though dark clouds were gathering on the horizon. We passed several families without uttering more than greetings. I took off my boots and walked in my socks. Aleš carried his backpack as if it were a bag of groceries. We rarely spoke, and then only to complain.

Next to a weather station was a mountain hut, a stone structure used by the Partisans, and this was where we stopped for lunch. The hut was filled with refugees from Bosnia: the military barracks in the valley, converted into a camp for the men, women, and children fleeing the fighting and “ethnic cleansing,” were overcrowded. A handsome family was playing cards at the picnic table next to ours. A plump woman in a bright red sweater and floral print skirt was picking wildflowers. An old woman pushed a baby in a stroller. We changed shirts, drank water, ate nothing.

“I don’t have the heart to ask them any questions,” said Aleš.

We hiked in silence down an abrupt wooded incline, rested at a crossroads, next to a crucifix, then hobbled up a precipitous hillside. I could not think of a good reason to walk across Slovenia.

Eventually we came to the edge of another clearing, a steep alpine meadow more than a kilometer across, a green-and-golden field occupying an entire mountainside. Here were long straight lines of hay cut by hand, a richly ribboned pattern of light and dark extending from the woods below us to the trees straddling the ridge. The sky was blue, the wind was picking up. It would rain before we reached Slovenj Gradec, a prosperous town where UNESCO holds an annual conference on the transfer of knowledge. The wind cooled us off, and we stumbled up to the grove of oak, alder, and mountain ash leading to Kremzar Peak. In a notch down to our left was a solitary farmhouse; the clearings on the Austrian side looked like islands in an ocean of trees. I had never seen such beauty, beauty borne of a people’s respect for the natural order.

“I can see why you would fight for this land,” I said.

Aleš had hiked here many times, yet he seemed moved. “Do you see how they left that carpet of purple?” he said, pointing at a patch of wildflowers. “There’s no need to take it all.” He dropped his backpack, stretched out on the ground, and gazed at the sky.”When I was translating for CNN,” he said, “we asked a young soldier how he could fight against his friends. He replied, ‘Yes, I have Serbian friends, but the minute they attacked my country, they were no longer my friends.’ That encapsulates the truth about this beautiful, crazy part of the world. The rest is just philosophy.”

Several hours later, sitting across the table at Marion's, I recalled in a rush exactly what it was that I liked about him the first time around. He had short-cropped black hair, eyes that were playful and sad at the same time, a nose that would have been aquiline except for the slight Slavic twist at the end of it, and a short scar above his right eye that erased about a third of his eye-brow and gave his face an appealing asymmetry. He was not a large man, but what he lacked in size he made up for in sheer energy and self-confidence. He was completely and utterly full of himself, and yet the same quality that was unbearable, I knew from experience, in an investment banker, seemed almost endearing in a poet.

The first thing Aleš did that night – and in retrospect I recognize it as the first of many things he would do to discourage me, to divert our shared fate – was go all cocky and macho and politically incorrect on me. He told me that the reason it had taken him three weeks to call was that he had collected other numbers at the party and that he had called them first, thinking that they would be less complicated than me, less of a challenge. One was considerably younger and the other considerably older. It confirmed what I'd already guessed about him: that he had methods of breaking the monotony of drafting a dissertation on social thought. That he got around. He bedded women.

At that moment, I didn't care.

Over dinner he told me the names of his poetry collections – *Anxious Moments*, *Chronicle of Melancholy*, *Dictionary of Silence* – and said that he was not a romantic poet but a melancholy one. He didn't write about love but about existential anxiety, that indeed melancholy and existential anxiety were pervasive and persistent conditions not only in his soul but in the soul of his country.

"Everyone in Slovenia falls victim to melancholy," he said, "especially during the long winter months. Slovenia competes," he continued with

a perverse sort of national pride, “with Hungary for the highest per capita suicide rate in the world.”

“Well, it can’t be too hard,” I parried, “with such a small population.”

And yet the Slovenian sitting across the table from me did not seem particularly melancholy at the moment. To the contrary, he looked sly and self-satisfied, like a cat perched on a tree branch, contemplating a small snack-sized bird on a lower branch. I assured him that I, along with everybody else in New York, had read *The Unbearable Lightness of Being*, seen the movie, adored Milan Kundera and Daniel Day Lewis, and knew all I needed to know about melancholy and existential anxiety and woma-nizing being pervasive and persistent conditions in communist and now postcommunist countries.

“Not much else to do there, I suppose. Here we actually have to work for a living.”

“There’s an old saying in my country,” he said, suddenly changing both the subject and his tone of voice. “It goes like this: zarcenega kruh se najvec poje.”

I can no longer recall how that phrase sounded to me then when I first heard it, how it appeared floating before my mind’s eye, how I imagined the sentence might be broken into words, the words broken into letters. I could master my dinner companion’s first name and, with a little difficulty, his last, but this saying sounded like nothing more than a tumult of undifferentiated syllables. And yet I do recall thrilling to the sound of such an unfamiliar language, wanting to hear it again and again. Unlike most European languages, it evoked a place that was actually unknown to me: a real *terra incognita*. The sound of the words, the hard consonants, the way he ran them together in a staccato blur all seemed to confirm that this man was like no one else I’d ever met before.

“What dose it mean?” I asked.

“It’s hard to translate, like a lot of things are hard to translate.”

“Try me,” I persisted.

“Well,” he paused, “it means something like: you always eat the bread that you’ve forbidden yourself.”

“Oh,” I said, and sent a wicked smile across the table. We were still playing games, I thought. “Here we call it forbidden fruit. But then we didn’t have food shortages.”

“I’m serious,” he said. And he looked serious, even a bit melancholy after all, not playful or predatory anymore.

“It means that you always end up doing what you say you won’t do. But I’m not going to end up doing that. I’m going home in three months’ time. To Slovenia. It’s a new beginning over there, and I’m going to be part of it. So don’t get any ideas about me. We’re just having dinner.”

P

ERSKIE STROFY

W czwartek 14 sierpnia 1762 roku z domu hrabiny Bute wysłany został komunikat, że jej matka, Lady Mary Wortley Montagu, nie będzie przyjmowała wizyt w mieszkaniu przy Great George Street, w którym przebywała po powrocie do Londynu.

Horace Walpole w liście wysłanym 31 lipca do lorda Manna stwierdza: „...nie ma dla niej nadziei. Wszystko znosi z ogromną siłą i powtarza, że żyła wystarczająco długo”.

Dwa miesiące wcześniej lady Mary ostatni raz pisze do Włoch, do Chia-ry Michiel. Skarży się na londyński klimat – był to doprawdy wyjątkowo chłodny maj – ale nie wspomina ani słowem, że jej rak wszedł w fazę terminalną. A jednak spośród kilkuset listów lady Mary Wortley Montagu tylko ten kończy się słowem Adieu.

Od kiedy pod koniec maja otworzyły się jej rany na piersiach, David Middleton, chirurg premiera jaśnie wielmożnego hrabiego Bute, podawał jej opium. Teraz, w pierwszych dniach sierpnia, podwoił dzienną dawkę. Lady Mary przeważnie leżała w zaciemnionym pokoju, na szerokim ozdobnym łóżu z baldachimem. Do jej świadomości, miejsca, które można by określić jako stan między snem i omamieniem, napływały niepowiązane sceny, postaci monarchów, stangretów, książąt, iluzjonistów, poetów, handlarzy dzieł sztuki, marynarzy, muzyków, swatów, oficerów i dyplomatów, lśniły kartki najdelikatniejszego włoskiego papieru, które gorączkowo wypełniała opisami podróży, rozmyślaniami, wierszami, jadowitymi żądłami satyry... i wysyłała na adresy przyjaciół i krewnych.

W tym koszmarnym chaosie chwile, w których pewnej dawno minionej zimy wstąpiła w to, co nazywała „prawdziwym Orientem”, wracały jako tako powiązane: jej mąż Edward, świeżo mianowany ambasador na dworze

sultana, spieszył się, chciał jak najszybciej dojechać do Konstantynopola. Ważną częścią jego dyplomatycznej misji była próba ustanowienia pokoju między Austrią i Turcją – dlatego jechali zimą, choć w tej porze roku nikt nie podróżował. Już za Ratyzboną Dunaj był skuty lodem, do Wiednia jechali w konwoju powozów. Organizowanie dalszej drogi na południowy wschód trwało kilka tygodni. W tym czasie państwo Montagu uczestniczyli w życiu towarzyskim stolicy, byli zapraszani na obiady i przyjęcia, nawet na audiencje do cesarzowej Amalii.

Lady Mary, wychowana w duchu protestanckim, który wszelką religijność utożsamiał z zabobonem, wyleczenia z ospy – która to choroba zmoęła wielu wokół niej – nie przypisywała cudowi ani Bożej interwencji, tylko swojej młodości i silnemu organizmowi. Blizny na twarzy rzuciły cień na jej urodę, ale w najmniejszym stopniu nie tknęły wdzięku, nawet w późnym wieku, podczas trwającego dziesiątki lat wygnania, ludzie uważali ją za pociągającą. Arystokraci poznani w drodze dziwili się, że wkrótce po chorobie, którą mało kto przeżył, zabrawszy rocznego synka, dołączyła do męża w niebezpiecznej misji.

Do Budima jadą przez uroczą równinę, słabo zamieszkałą i nieuprawianą, spustoszoną długimi bitwami między Turkami i wojskami imperatora i jeszcze okrutniejszą wojną domową. Ich przewodnicy znajdują najlepszy możliwy nocleg, ale wszystkie te miejsca dalekie są od tego, do czego Europejczycy ich klasy przywykli.

W Raabie witają ich z wojskowymi honorami, biskup Temeszwaru i odwiedza ich i zaprasza na obiad. Z żalem odmawiają, muszą szybko jechać dalej – prałat przysłał im owoce, przepyszne wino i dziczyznę.

Wprawni majstrowie mocują płozy do ich powozów. Siedzą ściśnięci na przeciwległych ławeczkach, otuleni futrami. Dwie niańki opiekują się jej synem, Edwardem juniorem

W coraz rzadszych chwilach przytomności Mary w łóżku układa spis ludzi, którzy ją w jakikolwiek sposób dotknęli: honorowe pierwsze miejsce przypada temu niemowlęciu, rocznemu dziecku, które w opiumowych snach widzi w kolebce zamocowanej do poprzecznej ławeczki. Wtedy nie mogła wiedzieć, że jej życie będzie nieustanną wędrówką, ucieczką, gorącz-

kowymi próbami zostawienia śladu o wszystkim w dziennikach i listach. Tym bardziej nie mogła wiedzieć, że dziecko usypiane kołysaniem powozu, wyrośnie na bezwzględного potwora, lekkoducha i awanturnika. Jej zemsta: w testamencie zapisze mu jednego jedynego funta.

Kiedy trzy powozy w eskorcie oddziału strzelców jadą traktem wyciętym w bezkresnym lesie, to, przed czym ich ostrzegano, wkrótce staje się rzeczywistością: wilki atakują konie, stangreci i żołnierze odpędzają je biczami i strzałami z długich muszkietów.

W pobliżu Esegu powozy przejeżdżają zamrożony Dunaj; tu zatrzymują się na dzień, żeby wysłać kuriera z listami do belgradzkiego paszy. Dwa dni później docierają do Petrowaradeinu. Zostają ulokowani w najlepszych komnatach domu gubernatora, w nowoczesnej i, jak się wydawało, niezdobytej twierdzy na wzniesieniu nad Dunajem. Ugoszczono ich – zgodnie z cesarskim rozkazem – w najlepszy możliwy sposób, podano bażanty, łakocie i domowe wino ze szczepu, które w te strony przynieśli, jak im powiedziano, rzymscy cesarze.

Kurier lorda Wortleya wraca z Belgradu z odpowiedzią paszy w prześlicznym woreczku ze szkarłatnej satyny. Tłumacz przekłada słowa paszy, który przekonuje że posłowie będą mile widziani, i prosi, by wyznaczyli miejsce, w którym przejmie ich turecka eskorta. Mary w pośpiechu kończy listy, w obawie, że gdy znajdzie się na ziemiach sultana, jej słowa nie będą mogły dotrzeć do dalekich adresatów.

Muszą wyruszyć zaraz, bo pasza chce ich jak najszybciej poznać – wyjeżdżają nazajutrz rano, żegnani przez cały garnizon, który składa się z niemieckich i serbskich żołnierzy. Droga wiedzie ich koło miasta Karlowitz, wdzięcznie położonego u stóp łagodnych zboczy gór. Tutaj ma siedzibę serbski patriarcha, a zarazem przywódca tego ludu. Mijając miasto, jadą przez pole, na którym książę Eugeniusz niepełny rok wcześniej odniósł wielkie zwycięstwo nad Turkami. Ślady bitwy są jeszcze świeże: spod śniegu wyłaniają się ciała w rozpadzie, czaszki i kości niepogrzebanych ludzi, koni i wielbłądów. Kruki latają nisko nad równiną. Sanie jadą po trupach, końskie kopyta kruszą zamrożone szkielety.

W Bešce, na pagórku nad rzeką, zgodnie z umową wita ich aga z oddziałem janczarów. Pomimo warunków sprecyzowanych do najmniejszych szczegółów w wymienionych notach, belgradzki pasza wysłał setkę żołnierzy więcej, niż ustalono. Napięcie ustąpiło, dopiero kiedy oddziały rozjechały się w dwie strony, a już wyglądało na to, że w każdej chwili mogą się zacząć harce.

Do Belgradu przyjeżdżają późno, bo głęboki śnieg utrudnia jazdę. Dopiero rano ich oczom ukazuje się twierdza i poniżej miasto niskich domów, wąskich, krętych uliczek, wysokich ogrodzeń, nad którymi górują wysokie minarety.

W pełnym żołnierzy mieście zostaną dłużej, niż zamierzali, dopóki z Jedreny nie nadejdą precyzyjne rozkazy, a to, jak powiadają, może potrwać nawet miesiąc. Umieszczono ich w pańskim domu, w części miasta zwanej Zerek, na stromym zboczu opadającym ku Dunajowi. Dom należy do Ahmed-bega, bogatego dziedzica.

Opiekuje się nimi oddział janczarów, chwilami trudno określić, czy to dla ich bezpieczeństwa, ponieważ miasto, spodziewając się obrachunku z Austriakami, pełne jest wojska, które zjechało ze wszystkich stron, czy też stali się kimś w rodzaju jeńców.

Od strony ogrodu, teraz przykrytego śniegiem, nad kamienną piwnicą wznosi się doksat. Niezliczeni słudzy bezustannie palą w piecach, ale okna podzielone na maleńkie pola skute są lodem. Obiad podają im w wielkiej komnacie z rzeźbionym sufitem, skąd wchodzi się do drugiego pokoju. Pod ścianami stoją półkolem ławy, przykryte dywanami z Samarkandy i Buchary. Na niskim stelażu umieszczona jest okrągła metalowa taca, chłopcy w fezach nieustannie przynoszą nowe dania, wiele zupełnie gościom nieznanym. Z wrzecionowatych metalowych naczyń z wygiętą rączką nalewają herbatę.

Mary przychodzi na myśl, że tak jadano w starym Rzymie.

Widok bocznego pokoju, w którym pisze listy, w jej wspomnieniu jest całkiem wyraźny; widzi siebie, jak przy płomieniu łojowej świecy układa na niskim stoliku pióra i otwiera kałamarz. Alexandrowi Pope, poecie, opisuje pana domu, na żółtawej kartce widnieją równe linijki drobnutkich liter: Jego tytuł odpowiadałby mniej więcej niemieckiemu hrabiemu. Ojciec

Ahmed-bega był znanym, paszą, a on sam otrzymał najlepsze wschodnie wykształcenie. Świetnie się posługuje arabskim i perskim i jest niezwykle odcytany. Ludzi takich jak on nazywają tutaj efendi. Takie umiejętności otwierają drogę do najwyższych funkcji, ale on jest wystarczająco mądry, by bardziej cenić sobie łatwe, spokojne i pewne życie niż wszystkie zaszczyty, które mu proponuje Porta. Każdego wieczoru siedzi przy naszym stole i bez ociągania się pije wino. Nie może Pan sobie wyobrazić, jaką przyjemność sprawia mu rozmowa ze mną.

Beg ma wielką bibliotekę, spędza w niej wiele czasu, Po każdym obiedzie długo rozmawiają. Ahmed-beg wierzy, że Mary jest wielką uczoną, w pierwszej chwili myślał, że jego gość zna perski. Wiersze Omara Hajama, które wyrecytowała po francusku, on powtórzył w oryginale.

Obudź się, najmiłsza, zaraz słońce wstanie,
wypij kielich wina i wpraw lutnię w granie;
kto jest teraz tutaj, długo nie zostanie,
a ten, kto już odszedł, nie jemu wracanie!
W jego ustach te słowa brzmią jak muzyka.

W liście do Pope'a dopisuje: naprawdę myślę, że uczyłabym się czytać po arabsku, gdybym musiała zostać tu kilka miesięcy.

Z dwóch końców świata, z gorącego krajobrazu, w którym powstały, i z zimnego Zachodu, który zaczyna odkrywać Orient, przychodzą wiersze i krzyżują się w divanhanie domu w Zereku.

Doktor Middleton podał nową dawkę opium, bóle minęły. Turkotanie kół i stuk końskich kopyt na pokrytej płytami jezdni Great George Street znowu przenoszą ją w młodość, w to samo miejsce, do powozu, który jedzie na południowy wschód. Wokół niej jest szerokie pole, całe pokryte kośćmi, podartymi flagami i gnijącymi zwłokami, które się wylaniają ze śniegu.

Przełożyła Magdalena Petryńska

Café Europa

Niewidzialne mosty / Invisible Bridges

B LUE WHALE

listen a whale pierced by a harpoon
how it wakes up
the imagination of the last century
oil-clothed men with fingers turning into ice
holding the end of a rope
heads weather-beaten by wind
torsos of apollos
curses in spanish
from the captain's bridge the only
sign of culture in this way
we imagine a healthy europe thirsty
for blood a hundred years ago conquering
the glaciers of greenland the sun setting

M ĒLYNASIS BANGINIS

klausyk žeberklu pasmeigtas
mėlynasis banginis kaip pažadina
praėjusio amžiaus vaizduotę
brezentiniai vyrai ledėjančiais
pirštais įsikibę į virvės
galą vėjo išgairintom
galvom apolonų torsais
ispaniški keiksmi nuos kapitono
tiltelio kaip vienintelis
kultūros ženklas taip vaizduojamės
sveiką ištroškusią kraujo europą
prieš šimtą metų užkariaujančią
grenlandijos ledynus saulei leidžiantis



ESSAY ON LITHUANIAN LITERATURE

less and less am I able to answer the question why I write
sometimes it seems: in order to write
sometimes I see the light
less and less the interest in poetry(not to mention prose)
sometimes it seems: I read in order to forget
sometimes it seems: I am behind this involuntary play of words
more and more I force myself to be with lithuanian poets
sometimes the poets are hearty and tortuous like in russian poetry
sometimes drunken and aggressive like in rap
sometimes barely there like me
more modestly I think about lithuanian poetry
sometimes I remember only a few names: vytautas alfonsas sigitas
sometimes I say: poetry can teach art not life
sometimes I ask: does poetry care for life like celan
sometimes I am silent: this ignorance will bring trouble upon me



SĖ APIE LIETUVIŲ LITERATŪRĄ

vis rečiau pajėgiu atsakyti į klausimą kodėl rašau
kartais atrodo: tam kad rašyčiau
kartais matau šviesą
vis mažiau mane domina poezija (juolab proza)
kartais atrodo: skaitau tam kad užmirščiau
kartais atrodo: esu kitapus šio nevalingo žodžių žaismo
vis dažniau prisiverčiu būti tarp lietuvių poetų
kartais jie širdingi ir skausmingi kaip rusų poezija
kartais jie girti ir agresyvūs kaip repas
kartais jie nesantys kaip aš
vis kukliau galvoju apie lietuvių poeziją
kartais prisimenu tik vieną kitą vardą: vytautas alfonsas sigitas
kartais sakau: ji išmokytų meno bet ne gyvenimo
kartais klausiu: argi jai rūpi kaip kokiam celanui gyvenimas
kartais tyliu: toks neišmanymas prisišauks bėdą



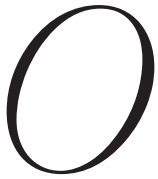
AK POWIEDZIAŁ JOSE SARAMAGO PORTUGALCZYCY MAJĄ
DOŚWIADCZENIE W ZDOBYWANIU NOWYCH TERENÓW

I my bywamy zdobywcami świata zanim wstaniemy z łóżka;
Ale budzimy się – i jest już nieprzenikniony,
Wstajemy – już go nie ma

Fernando Pessoa

witaj fernando ten ranek jest taki jak inne
wiatr pod firanką nagie ściany hotelu
w rurach bulgocze woda z gór przeniesiona
akweduktem obaj milczymy o tym samym
początek twego stulecia koniec mojego
na skraju europy boco do inferno gdzie się urywa
linia kolejowa i strofa wiersza
mnie będącego tutaj jest również niewiele
masa krytyczna turysty której wystarcza
na wybuch jednego wiersza
mogę pić młode wino z beczki palić tak długo
jak mi los zezwoli je ne suis personne
i to sprawia mi radość fotografuję
na negatywach pamięci retuszując miasto
potomek barbarzyńców o długich rozwianych na wietrze
włosach podbijający europę
śledzę dymy oczyma jakby to były moje drogowskazy

Przetłumaczyła z litewskiego Alicja Rybałko



KNO DO EUROPY

zawtra na rabotu... ech, nie pieręzywajcie, jeszcze można
nakałbasit'sia, poweselit'sia
z niedzielnej audycji radia w Petersburgu

oto się zaczynają obszary nieobjęte przestrzenie
gdzie nawet śmierć śmierci przez góry nie widzi
jak udało się im zmieścić w rymie mandelsztama może i nie całkiem
jeszcze wystają niecenzuralne słowa
indoeuropejskie końcówki
akcent melodyczny zza kratek reszotów
czas się zatrzymał zegar tyka dalej
regularna miejska geometria
jest ci obca przyjacielu siergeju
nie zadamawiasz się w kwadratach samotności
i ja się późnię na wszelkie możliwe pociągi
nie mogę znaleźć wyjścia z hotelowego labiryntu
kręcę i kręcę się w kółko znowu jak w dzieciństwie
liczę do dziesięciu i otwieram oczy
w uszach gwizdże wiatr od strony newy
twoje miasto obnaża się łuska po łusce
podarte dachy dlatego potrzeba więcej poezji
i miłości nawet tej mierzonej w godzinach
najpiękniejsze w europie dziewczyny na newskim
jeszcze białe noce dobrze są widoczne
wysmukłe piersi krzyże na kopałach wózki z lodami
niedzielna noc siergeju jeszcze mamy czas

Przetłumaczyła z litewskiego Alicja Rybałko

S EEING IS BELIEVING

powinienem napisać list albo przynajmniej wysłać kartkę
 z widokiem najpiękniejszego placu w europie:
 kwiatowa mozaika którą w nocy tratuja hordy pijanych kibiców
 piłki nożnej rano odłamki szkła ślad krwi
 urywający się przy ulubionej knajpie dionizego
 i ja tak chciałbym być łamać boże ciało
 przyjmować komunię szaleństwa tańczyć krzyczeć
 nie wychodzi dlatego fotografuję
 fragmenty architektury witraże kolumny
 sikającego chłopaka z brązu wierząc
 kiedyś się przyda
 kiedyś tam ułożę pasjans europy
 tak żeby nie została ani jedna karta
 a tak w ogóle jest tu cicho sam środek cyklonu
 belgowie spokojni jak belgowie muzea
 są czynne do zmroku powinienem tam zajrzeć
 powinienem kupić coś do domu w prezencie
 nie wytrzymuję i macham ręką mówię zostaw w spokoju te głupstwa
 eugeniuszu i tak nie masz już gdzie podziać swoich
 snów pamiątek historii wstawaj i idź
 europejski nietykalny z jednego miasta w drugie
 idź i patrz jak śmierć o coraz piękniejszych twarzach
 karmi piersią radość życia
 kiedyś się przyda

Przetłumaczyła z litewskiego Alicja Rybałko

W
IDMO EUROPY

pisarz – to niespełniony tyran

Wiktor Kriwulin

zmienia się klimat wygląd wiatr przez okna pociągu
miesza karty stroszy włosy mierzwi brodę
na dworcu już jest ze mnie prawdziwy rasputin
jedne kobiety rozbieram inne widzę na wylot
mam gdzieś swoje europejskie pochodzenie
gąbczaste powietrze jest nasycone wściekłością i żądzą
oddałbym całą europę północną
za jedną rozróbę w hotelu rossija
albo w podmiejskiej melinie z najlepszymi rosyjskimi poetami
dziwnie patrzą na mnie przechodnie
może nie ten wiek może nikt już nie pisze krwią
może tylko kupuje i sprzedaje wieczorami ogląda telewizję
na kacu nie pija wody z cynowego kubka
może ja jestem nie ten może w pędzie pociągu
umysł nie nadąża za ciałem
może samo ciało zabrało się do myślenia
tyle lat przeżyłeś eugeniuszu
i masz ci los straciłeś rozum
błądzi teraz po europie jak widmo

Przetłumaczyła z litewskiego Alicja Rybałko

A T THE ANNIVERSARY

for the poets who left us

I don't know how, nor why it's slowly starting to get dark
the light has become chillier and aslant
a violet-colored vapor slowly rises from people, grass and things

The chaos and the noise of the world seem to draw away a bit
our floundering has stopped for a second – a pain in the heart, a panic
slows down our movements, suspends the avalanche of thoughts

We sit alone on a bench in the park, or at home at a table with guests
we look for a meaning in gestures and words
but everything repeats itself strangely, mechanically
we no longer understand anything – there's nothing left to understand

We find refuge in routines, they are longer lasting than us
we let the spirit of life leave us slowly, and discreetly
return to the vital cloud which surrounds Earth

We remain a moment in the park, on a bench
we watch the world detachedly, we admire without desire
its calm, vast and blinding beauty

Maybe it's all we need to realize in this life
we are universal Consciousness, pure
and we're no longer afraid of death...

translated by Madalina Banucu

Cienka żyła na grzbiecie dłoni i mokre połyskiwanie negatywu, który może zniszczyć każdy, kto zechce: o, metonimio! drżąca i cichnąca nagle. jak zimowa przepióreczka. – co jest nie do zapomnienia, nie wyparowuje: rozsypane liście odpadną,

zanim winorośl zakwitnie. – dokument świata jest uszkodzeniem, które choć trochę krwawi. to co zostaje w kołysaniu kobiecego brzucha, echo niczego. ludzie są ubezpieczeni legendami z Atlantydy: owoc, który zawsze znów w pestkę

się obraca, zsuwa w nieprzemijalne. – teraz jeden obraz i jedna twarz zjawiają się jak amalgamat niepokoju i poczucia deszczu, wody. – nostalgia zatopiona w błękitach kalki.

popiół, kopalnie, rozczarowania i chłodniki. i nieskończenie wiele straconego, zagubionego patrzenia w pustkę, w byle, w niezauważalne. pajęczyna. lub rozległy głos. być może w ostatniej chwili. od zawsze tak.

Przełożyła Joanna Kornaś-Warwas

M

ilość powstaje w złudzeniu optycznym gwiazd, przychylna i zanurzona w sobie. nie jest niczym więcej niż ochrypli śpiew dzikich ptaków lecących wyżej niż szybowiec. to nic gładkiego, – nie mów nic. – na początku zawrót głowy i próg którego nie

można przejść jak grzbietu nad zboczem. i w jednej twarzy wstają wszystkie: jak rytm tęsknoty bez przyczyny, nieunikniona wieczna miedź neolitycznych ozdób. gdzie nie ma żadnych prześcieradeł na łóżkach i ani jednego dukata. – wiśniowy liszaj to wszystko, co wstaje

z pustki. I jeszcze drobne zagubienie utkane w osnowie i w zmiany na ledwie naszkicowanym krajobrazie. płatek, zdjęty z cebuli ,gdzie wszystko jest przejrzyste jak początek snu: być ślepym, nieruchomym jak

zwierzęcy skok zastygły w miedziorycie. być rezonansem wszystkich ludzi, którzy przeszli przez obcą śmierć. I w ogień, ziemię, powietrze, wodę. straszny jest przymus tej miłości, gdzie zbiega się oblęd i milczenie.

Przełożyła Joanna Kornaś-Warwas

M IŁOŚĆ TWOJEGO ŻYCIA

Słyszysz głos w sklepie, spotykasz niechcący spojrzenie,
które porusza cię do głębi, zadziwia
i nagle wiesz, wiesz całą sobą –
trafiłaś na miłość twojego życia
Człowieka od dawna wyczekiwanego, stale poszukiwanego,
który w końcu został ci zesłany, gdy już nie wierzyłaś, że to możliwe
I właśnie wtedy jesteś niezmiernie zmęczona, nie zrobiłaś makijażu,
masz nieumyte włosy, a na sobie tylko T-shirt i dzinsy.
W sklepowym zgiełku pozostajesz nieruchomo, starasz się wymyślić
rozwiązanie, spoglądasz ukradkiem w stronę tego człowieka
on szuka jakiegoś produktu, jest tym pochłonięty, nie widzi cię
ale ty wiesz, wiesz głęboko, że jest miłością twojego życia
czujesz to nie rozumiejąc, odczuwasz przemianę
Coś magnetycznego wiąże cię z nim w sposób niewidzialny, przyciąga cię
próbujesz odnaleźć bliskość, drogę,
Udajesz, że też szukasz tego produktu
ale miłość twojego życia poszła dalej

A ty podążasz za nim oniemiała, nawet nie ujrzałaś dobrze jego twarzy
ale jego sylwetka, nawet od tyłu, wskazuje ci z enigmatyczną precyzją,
że to jest miłość twojego życia – wpatrujesz się w niego, ale on nic nie czuje
A twoje zmęczenie jest coraz silniejsze
rodzaj senności przytłacza ci umysł, ziewasz i masz ochotę
położyć się na podłodze, otchłań otwiera się w tobie

On jest miłością twojego życia i nie wie tego, nie czuje
a ty nie byłaś przygotowana, byłaś śpiąca, nie miałaś już nadziei
jego spojrzenie poruszyło cię do głębi.
dało ci tę totalną pewność, absurdalną
wielka radość jest możliwa
doskonałość jest możliwa
On jest miłością twojego życia, długo wyczekiwaną
ściśnięte serce boli cię i chciałabyś porozmawiać
nie znajdujesz słów, wszystko wydaje się śmieszne
podążasz za nim w bliskiej odległości – nagle przypominasz sobie
przypowieść o pięciu pannach nierozsądnych,
które nie czekały na oblubieńca z zapaloną lampą
a on przybył niespodzianie i złamał im serca.

Teraz już wiesz – i z rozpaloną piersią,
lecz niema jak popielaty cień z tamtego świata,
podążasz za tym, który oddała się w zawrotnym tempie
pomiędzy sklepowymi regałami, nie mogąc zawołać do niego, z daleka,
Jesteś miłością mojego życia, jesteś moim spełnieniem
jesteś moim rozczarowaniem
czekałam na ciebie tyle ile mogłam, przygotowałam się tak jak umiałam
zapomniałam, przypominałam sobie, znów zapomniałam.
Nie chcę cię już stracić. Jesteś chlubą świata.
Teraz jesteś tutaj. Przyjdź!

Przekład z języka rumuńskiego: Joanna Kornaś-Warwas

M OST

W punkcie opuszczonym przez pretoriańska straż, osiągniesz drugi brzeg. Będzie tam na ciebie czekać brzemień doskonałości: by cię wciągnąć w zaklęty krąg. Jesteś jedynym, który wie, jak niebezpieczna jest modlitwa o kształt, który chce być czysty. Dlatego przełknij ślinę,

wypowiedz tylko słowo w narzeczu lipy i załóż nowy dziennik podróży. W nim między bratem a siostrą niech pną się węży łuk, który na zawsze chce ich pogodzić. Oboje pragną soku drzew. By zagoił ranę błędu, który nawet zmarłych już nie oszczędza. A cegły książęcych historii

na jednym i na drugim brzegu podnoszą się wysokie góry. U jej podnóża śpią papierowe obozy, a rytm godzin spokojnie zamienia ciemności w zorzę. Historia w urnie błogo tli się i ludzie przeliczają kości.

Jak mają cię w ogóle rozpoznać? Rzeka rozszerza się niepostrzeżenie w deltę, flagi łopocą i przęsa już próchnieją. Dobrze ci się wydaje: stosy kamienia na przyczółkach zmieniły się w wyspy.

J HE BORDER

Who recognises this border?

A torn strip of shirt
Hanging on razor wire
In the spotlight of a searchtower
Fledglings feed and hush
Grass gaps through the broken
Concrete of a checkpoint

Do you recognise this border?

I'm standing by the bridge
Looking at the river
Imagining what line I've crossed
What lines I've yet to cross
Will she search me
Refuse my excess baggage
Grant me temporary visa
When does my exile begin?

Writing on the water
Drawing on it

After floods in Honduras
The roads were washed away
But a bridge was left behind
The river flowed around it

Blood flows now
Where it shouldn't flow
The Atlantic Ocean grows
At the same pace as
Our fingernails

There is no border

2000

G RANICA

Ktoś poznaje tę granicę?

Poszarpany strzęp koszuli
Wisi na drucie kolczastym
W reflektorze z wieży strażniczej
Malaństwa ssą mleko i cichną
Trawa wyziera ze szczeliny
W betonowym posterunku

Ktoś poznaje tę granicę?

Stoję na moście
Patrząc na rzekę
Wyobrażam sobie ile granic przekroczyłem
Ile jeszcze przekroczę
Czy ona mnie przeszuka
Nie przyjmie mi nadbagażu
Da tymczasową wizę
Kiedy zacznę być uchodźcą?

Pisząc na wodzie
Rysując na niej

Powodzie w Hondurasie
Rozmyły drogi
Ale most został

Rzeka opłynęła go
Teraz płynie krew
Tam, gdzie nie powinna
Atlantyk rośnie
W tym samym tempie w jakim rosną
Nam paznokcie

Granica nie istnieje
The bridge that takes its own decisions

To understand the word nostalgia, you need to travel to the island of Ambon, in the Pacific Ocean, on the eastern outskirts of the Indonesian archipelago. You will see with your own eyes the deep green hills with their slow curves, the small fishing ports and above all, the majestic bay of blue and purple that separates and connects both ends of the horseshoe island. It was through this bay that the Portuguese and Dutch ships came sailing in, centuries ago, in their search for nutmeg and other valuable spices. And it was through this bay that 12.500 Ambonese left their homeland, in 1951, when Indonesia had claimed its independence after four hundred years of colonial rule.

Many inhabitants of Maluku, the Moluccan islands of which Ambon is the most central, had been faithful to the Dutch. As soldiers or civil servants, they came to regard themselves as Dutch citizens. So when Indonesia became independent, they chose to leave their island and traveled across the world to the Netherlands – hoping one day to return to Ambon and its blue-purple bay.

The Dutch promise to facilitate the founding of their own Republic of Maluku never materialized. So that today, some 50.000 Moluccans live scattered across the Netherlands, often in their own tight-knit communities, sharing a deep nostalgia for a place many of them have never seen.

The bay itself lies contained in its own quiet majesty. It is memory and daily life in one. It haunts the dreams of those who left, while to the fishermen along its shore it remains the source of income for today and tomorrow. It separates the airport and the university from Kota Ambon, the capital city of the island. It witnessed the bloodshed of fifteen years ago, when sudden violence swept across Maluku, pitching newcomers against original inhabitants, Christians against Muslims, followers of president Suharto's fallen regime against activists for new democracy, leaving over five thousand victims in its wake. It also has a bridge.

The story of how and when this bridge was constructed varies, depending on who you ask. Like so many things in this part of the world, its history is shrouded in myth and tales of spirits of the dead who have not departed. The bridge itself is a miracle of engineering. Its body of stone, wood, cables and steel arches high across the silent water. It easily spans the shimmering distance between both shores. Workers, family members, young students in their blue and grey school uniforms, islamic militants and young poets with fuzzy beards – everyone can drive and walk and speed across it to reach their destination on the other side. It has the capacity of slowly swaying open, creating the entrance for Portugese schooners or iron-clad battleships to pass through. It has also been known to submerge, to slowly sink beneath the surface of the bay. At times, people say, the bridge stayed under water for weeks, only to rise again, glistening in the beating sunlight, hundreds of meters away from its original position, forcing the locals to adjust their route. Within days, after people had adapted as they always did, everything was back to normal and the bridge accommodated travel as if nothing had ever happened.

The Provincial Port and Shipping Authority (PaKoSi), of course, denied that it had ever lost control of the bridge's whereabouts, just as it had denied the roadblocks during the civil war of 2000, when groups of masked militants built checkpoints on the bridge, sometimes two or three at a time, stopping traffic and summarily executing people of the wrong inclination at will. Small shrines all along the arch of the bridge still pay tribute to the deceased.

During the years of troubled, fragile peace after the war, when thousands of Ambonese were forced to rebuild homes in new villages or settlements, with most of the Christians concentrating in Kota Ambon and many muslims finding themselves on the opposite shore, people swore the bridge seemed wider than before. Extra traffic lanes made it possible for more people to cross, swifter and in less of a hassle. The number of accidents and traffic jams was reduced to a fraction of what it had been. It was as if the bridge understood that crossing the water and restoring communication with former neighbors was vital in these days. PaKoSi claimed the

widening of the bridge as a gesture of peace-building from the far-away national government in Jakarta. But how then did it account for those days, still very much alive in the stories of many residents, when the bridge suddenly withdrew from the shore when gangs of motorcyclists, hungry for revenge on those at the other side, massed up at its entrance? It withdrew, the water opened up, making passage impossible.

Among the thousands of homesick Moluccans in the Netherlands, these mystifying stories only add to their nostalgia. The bridge that takes its own decisions has come to figure prominently in their dreams of returning to the bay of Ambon. One day, they believe, the bridge will decide that the time for them to come home has arrived. It will stretch its glistening arch, the cables will sigh and the timber will groan. The bridge will reach all the way to the grey shores of Holland and invite them to take the old suitcases they have stored in the attic all these years, waiting for this day to come, and start the long way home.



RABIĆ ZMARŁYCH

WSPOMNIENIA O MOJEJ CIOTECZNEJ BABCE MIMY

Pamiętam jej dłonie, długie palce z niebieskimi liniami, chłodne nawet w środku lata. Trzymały mnie za rękę, gdy szliśmy, i wypuszczały dopiero wtedy, gdy przekroczyliśmy już bramę z trzema łukami, za którą znajdował się inny świat, tajemniczy i pogodny, gdzie dzieci mogły swobodnie biegać. Jak często dreptałam tam z nią? Nie miałam jeszcze czterech lat, kiedy zaczęły się nasze spacery we dwie. Trwała jeszcze zima, był to rok wielkich zmian. Nasza rodzina przeprowadziła się z małego mieszkania przy Ahlener Marktplatz na ulicę Parkstrasse, do ceglanego domu z ogromnym ogrodem. Popołudniami około trzeciej moja cioteczna babka odbierała mnie stamtąd. Prawie codziennie, poza niedzielami, aż do mojego pójścia do szkoły, po Wielkanocy 1957 roku. Z niecierpliwością czekałam na dzwonek do drzwi. Najpierw wyciągałyśmy z oplecionej bluszczem altany nasze narzędzia. Ciotka Mimy długie grabki z jasnoszarym trzonkiem, ja – krótkie z czerwonymi zębami, pamiątkę, którą przywiozłam poprzedniego lata znad Morza Północnego. Potem ruszałyśmy. O tej porze często spotykałyśmy na naszej drodze mojego ojca. Jeszcze trochę oszołomiony po poobiedniej drzemce zabierał swoje kalosze z garażu, co oznaczało, że zaraz wsiądzie do starego DKW, żeby pojechać do chorej krowy albo do konia, który potrzebował jego pomocy. – Musimy wygrabić zmarłych! – oświadczałam, a on ze zrozumieniem kiwał głową. Grabienie zmarłych było moim pierwszym „urzędem”, jak nazywaliśmy w Westfalii stałe obowiązki dzieci.

Moje wczesne dzieciństwo zbladło. Pozostały tylko fragmenty, takie jak mrużąca lodówka w dawnym mieszkaniu albo potężny głos dzwonów

od św. Bartłomieja. Mocno wrył mi się w pamięć Hassan, moja lalka – Murzynek, na którego często krzyczałam („Muzinka tseba umić”, jak przypominał ojciec moje seplenienie). Bolesne oparzenie słoneczne; pamiętam do dziś, z jaką lubością zdzierałam sobie naskórek. Sukienka, która okropnie drapała. Moje ciało i moja głowa przechowały drobne, banalne rzeczy. Fikołki na trawniku, chlor w nosie przy nauce pływania, w sierpniu. Czasem śnię jeszcze o zapachach, o ostrej woni w sklepie z nabiałem Ewalda Heitköttera. Pozostało kilka nastrojów i uczuć, które dzisiaj, o sześć dziesięcioleci później, jeszcze dokładnie odczuwam. Jak to jest, czuć beztroskę i wolność. Albo samotność. Samotność cztero-, pięcioletni była szczególnie intensywna. Miała nawet swoje miejsce – w tylnej części ogrodu, pod żywopłotem z głogu. Widzę się jeszcze, jak zwinięta w kłębek niczym jeź leżę w swojej kryjówce, owinięta od stóp do głów w stary fartuch mamy. „Jestem mędrcelem marabutem” – szeptałam do siebie. Co to był za ptak? Sama go wymyśliłam? A może była to postać z dziecinniej książeczki?

„Grabić zmarłych” jest wspomnieniem innego rodzaju. Jest żywe i precyzyjne jak film: wydarzenia w określonej kolejności, z wieloma szczegółami, częściowo konkretne, częściowo tajemnicze. Rytuał. Działo się to setki razy, z niewielkimi wariacjami. Z naszego domu najpierw przechodziłyśmy przez ulicę, wtedy była to jeszcze Aleja Kasztanowa (aleja kasztanowa), i szłyśmy do „budy”. Niski kiosk był naszym pierwszym przystankiem. Na prawo od szklanego okienka, przez które pozdrawiała nas kioskarka, stały dwa rzędy słojów z błyszczącymi cukierkami. Podczas gdy ciocia Mimy wyjmowała dziesięciofenigową monetę z torebki, zastanawiałam się: malinowe czy cytrynowe? Może dziesięć czerwonych, a może lepiej pięć żółtych? A może mieszane, sześć jednych i dwa drugich? Umiałam już trochę liczyć. Wszystko, co wybrałam, kioskarka wkładała do papierowego rożka. I te wspaniałości należały tylko do mnie! Przez sześć dni w tygodniu, wtedy w sobotę jeszcze się pracowało.

Niespiesznie przemierzałyśmy ulicę wysadzoną kasztanami, obok starego szpitala, ręka w rękę. Kiedy szłyśmy, ciocia Mimy przeważnie milczała, koncentrowała się na swoich nogach, żeby nie potknąć się na korzeniach. Ja miałam pełną buzię i też nic nie mówiłam, zajmowało mnie ssanie

i chrupanie cukierków. Przede wszystkim malinowe wprost miażdżyłam, wiedziałam, że ciocia mnie nie upomni, że to szkodzi na zęby. Była jedyną osobą w rodzinie, która mnie nie strofowała, wtedy ani później. Rozmawiała ze mną jak z dorosłą osobą, nie znając tego szczebiotania, jak inni przemawiają do dzieci. W drodze na cmentarz zatrzymywała się od czasu do czasu i zwracała mi na coś uwagę, na przykład na brzęczący dzwonek, dochodzący z kaplicy szpitalnej. Wyjaśniała mi, dlaczego nosi on nazwę „Ewa Maria”. Ewa to „grzeszna kobieta z raj”, a Maria to „święta dziewica”. Maria była jej patronką, „drogą i kochaną”. Zapamiętywałam wiele wyrażeń, nie rozumiejąc ich znaczenia.

Gospoda niedaleko cmentarza nazywała się „Ostatnia łąza”. Czy goście lali tam łązy do kufla z piwem? Zaraz minimy bramę, zawsze szłyśmy lewym łukiem, który wyprowadzał nas na coś w rodzaju malutkiego kościółka, zwanego „Kerkmannsche Mausoleum”. A potem ruszałam biegiem, prostą drogą pod górę, ocienioną drzewami. Tu nie było już żadnych samochodów ani psów. A domki zmarłych były tak niskie, że nie traciłyśmy się z oczu. Prawie bezлюдne miasto, gdzie świergotały ptaki; gdzieniegdzie tylko jakaś kobieta z grabkami albo konewką. Miasto-ogród z wieloma różnymi grządkami, obsadzonymi kwiatami i inną roślinnością, ale nie warzywami, obramowania z szarego, gładkiego kamienia. Można było na nich cudownie balansować. Przeskakiwałam z kamienia na kamień, przyglądałam się kamiennym aniołom albo szukałam nowych kopczyków niezmordowanych kretów. Od czasu do czasu okrężałam ciotkę Mimy, słuchając jednym uchem, jak wymienia nazwiska: Kerkmann, Nahrath, Kaldewei, Hagedorn. Wskazywała przy tym palcem w różnych kierunkach. – Popatrz, tu leży... – wydawało się, że zna wszystkich. – Ale gdzie oni są? – W niebie, przecież wiesz.

Teraz wokół dużego okrągłego klombu, leżeli tam pastorzy, najwidoczniej ważni ludzie. I „młody diakon”. Niedaleko stąd kobieta, której Mimy nie lubiła, „nazistka”! Wysoki głos ciotki przechodził w dyszkant. „Naziiiistka!” Oczywiście nigdy nie słyszałam o nazistach, myślałam, że mówi o narcyzach i dziwiłam się, gdyż bardzo lubiłam te kwiaty. Dotarłyśmy już prawie do celu, jeszcze tylko skręcić za róg i byłyśmy przy Beumerach. Grządki tak

porządne jak nigdzie, i czarny kamień, na którym wypisano trzy nazwiska, ciotka zawsze mi je odczytywała: Heinrich Beumer, kupiec, i Sophia Beumer, to byli jej rodzice, oboje „już dawno zmarli”. A także Eugen Beumer, jej starszy brat, „zastrzelony podczas wojny”. Kiedy grałyśmy, ciotka opowiadała mi historie o nich. Heinrich, z bujną brodą i zegarkiem na złotym łańcuchu, „twój pradziadek”, jak mówiła, sprawiał na mnie duże wrażenie. Najwięcej opowiadała o Eugenie, młodym rzeźniku z małymi wąsikami, ładnym i wesołym, nawet z wojny pisał wesołe listy. Od ciotki Mimy po raz pierwszy usłyszałam słowo „wojna”.

rabiłyśmy z zapalem, wrywałyśmy chwasty i usuwałyśmy przekwitłe rośliny. Jesienią było najwięcej roboty, trzeba było usuwać tańczące liście. A także ciemnozielony, wilgotny mech, to było moje zadanie ze względu na moje małe palce i sokole oczy. Wiosną szorowałyśmy czarny kamień ostrą szczotką i polerowałyśmy ścierką, aż znowu błyszczał. Po pracy ciotka Mimy stała przez chwilę w milczeniu, z opuszczoną głową, poruszała bezdźwięcznie ustami. Przeważnie spoglądałam na nią od dołu, obserwowałam jej twarz. Z profilu wyglądała jak ptak, trochę obco, nos jak dziób, delikatne siwe włosy, które wymknęły się z przytrzymujących je grzebyków, zupełnie jak piórka. Czekałam na moment, kiedy ciotka sięgnie ręką na kark, żeby je uporządkować.

W drodze powrotnej śpiewałyśmy czasem „Kochać Marię” albo „Myśliwy z Palatynatu”, dopóki nie przeszłyśmy przez prawy łuk bramy. Nasze odwiedziny na cmentarzu nie miały w sobie nic smutnego, były czymś codziennym, jak przedszkole czy obiad. Miałam to szczęście, że już w wieku czterech – pięciu lat dowiedziałam się, że zmarli należą do życia. Ciocia Mimy zbudowała mi most do nich i do dawnych czasów, kiedy jeszcze była młoda i jej brat Eugen jeszcze żył – a także „cesarz Wilhelm”. Może dlatego studiowałam potem historię, żeby rozszyfrować wszystkie rodzinne zagadki, które posiadała w moim sercu?

Istnieje dokument filmowy na wąskiej taśmie, trwający minutę i dwadzieścia sekund, w którym utrwalone są najważniejsze fakty z mojego wczesnego dzieciństwa. Siedzę w letnich śpioszkach – mam cztery miesiące albo trochę więcej – na kolanach mojej pięknej matki o czarnych lokach.

Matka pieści mnie i szturcha lekko grzechotką, żebym spojrzała w kamerę. Podchodzi ojciec, z drewnianym konikiem w ręce, wysoki blondyn w tweedowej marynarce i pumpach. Demonstrują swoje szczęście: ojciec Karl, matka Anne i Ursula, pierwsze dziecko. Nagle znajduję się na ręku ojca, ten zamyka oczy, a ja śmieję się bezzębnymi ustami, wtedy zjawia się czwarta osoba, ciotka Mimy, bierze mnie czule w ramiona i pozuje na tle jabłoni, z tyłu za nami kominy oplecione bluszczem. Starsza dama w zapiętej pod szyję sukni w kropki, chuda i prosta jak kij, wydaje się zarażona błogością rodziców. Wszystko dzieje się pośród zieleni w tylnym ogródku ciotki Mimy, należącym do sklepu Beumerów. Idylla ma miejsce w lecie 1951 roku – w szóstym roku pokoju.

Zaledwie cztery lata temu ojciec wrócił z traumatycznej niewoli pod Stalingradem, na pół zagłodzony. Mając wówczas około trzydziestu pięciu lat, zaczął właśnie wykonywać swój wyuczony zawód – weterynarię, w Ahlen, małym miasteczku pośród wiejskiego otoczenia, którego nie znał i w którym nigdy nie poczuł się jak w domu. Od razu na początku zaraził się od cielącej się krowy niebezpieczną brucelozą, o mało nie umarł zaraz po ślubie. Matka, urodzona w Ahlen, przeżyła bombardowania w Heidelbergu, kontynuowała potem studia ekonomiczne w zniszczonym Münsterze, ale przerwała je tuż przed egzaminem końcowym. Z powodu zakochania? A może raczej dlatego, że niemieckie społeczeństwo powojenne chciało widzieć znowu kobiety w kuchni? W tym wąskotaśmowym filmie niczego takiego się nie wyczuwa – ile razy go widzę, zawsze mnie to dziwi. Wojna bowiem, jak wiem od dawna, była częścią mojego dzieciństwa, była wszędzie, mieszkała w stadle moich rodziców. A ciotka Mimy? Nigdy nie dowiedziałam się niczego o jej przeżyciach w Ahlen, na zapleczu frontu. „Mimy wygląda na wyczerpaną” – czytam w liście mojej babki, który niedawno znalazłam, obrazuje ona tam sytuację po wielkim bombardowaniu w marcu 1944 roku.

Moja cioteczna babka Mimy, panna Maria Beumer, jak nazywała się oficjalnie, miała w momencie moich narodzin sześćdziesiąt dwa lata. Niezameżna, bezdzietna. Z zawodu gospodyni domu, jeśli można tak powiedzieć; bardziej trafnym określeniem byłoby „współpracująca członkini rodziny”.

Jej miejscem pracy był sklep tekstylny jej brata Heinricha, mojego dziadka. Rano otworzyć sklep, wieczorem zamknąć, pilnować czystości i porządku – to były jej obowiązki. Musiała być stale gotowa do działania, gdyby coś się nie udawało, jej mieszkanie od działu odzieży damskiej dzieliły tylko drzwi. Gdy byłam mała, jej obowiązki się zmniejszyły, miała więc czas dla mnie – byłam pierwszym dzieckiem, z którym miała bliższy kontakt. Przy dobrej pogodzie matka przywoziła mnie do niej w wózku, mieszkaliśmy wtedy jeszcze w ciasnym mieszkaniu na rynku. Miałam oddychać świeżym powietrzem w ogródku. Przyjeżdżała także ze mną butelka z mlekiem i pieluszka na zmianę, najwidoczniej starsza dama umiała się nimi posługiwać.

Byłyśmy więc już żyte, kiedy zaczęły się nasze wypadki na cmentarz. Gdy poszłam do szkoły, zaczął się nowy rozdział: odwiedzałam ją odtąd w jej mieszkaniu. Popołudniami, po odrobieniu lekcji, a w niedzielę po kościele. Zawsze byłam tam mile widziana. Pędziłam na górę po schodach, po jaskrawoczerwonym chodniku kokosowym, aż do drzwi na pierwszym piętrze – za nimi zaczynał się świat ciotki Mimy. Jego szczególny charakter polegał po pierwsze na tym, że było tam ciemnowo, w korytarzu, w kuchni, a także w dużej bawialni. O każdej porze roku grube zasłony były zaciągnięte, całkiem albo częściowo; kąt między dwoma oknami, gdzie stał jej fotel, zawsze był mroczny. Ciocia siedziała tam, z pledem na kolanach, i chociaż jej oczy nie odpowiadały na moje spojrzenie, była zwrócona w moją stronę i pełna oczekiwania. Zwykle, zanim usiadłam w fotelu naprzeciwko niej, biegłam do szafki z przyborami do szycia, otwierałam określoną szufladę i wyjmowałam torebkę gumisiów albo i dwie, czasem jeszcze tabliczkę mlecznej czekolady. Stale uzupełniano ten zapas, również moje młodsze rodzeństwo – było nas już wtedy czworo – plądrowało szafkę, kiedy tylko mogło.

Moja matka opowiadała niedawno, że robiła ciotce Mimy wyrzuty, że daje nam tyle słodyczy. Odpowiedziała podobno: „Przecież inaczej nie przyjdą”. Ukłuło mnie to w serce. Oczywiście i tak bym przyszła! To zdanie było ostatnim impulsem, żeby zastanowić się, co mnie wówczas tam ciągnęło. Od dawna znałam krótką odpowiedź: ciotka Mimy i jej ciemna bawialnia mnie uratowały. Ale w jaki sposób, niełatwo mi to wyjaśnić.

Ten pokój był wyspą. Na zewnątrz życie zmieniało się błyskawicznie, a tutaj wszystko pozostawało tak jak było. Ciężkie dębowe meble, pachnące politurą, kredens z salaterkami z czeskiego kryształu i cenne drobiazgi z Miśni. Na marmurowej półce nad kominkiem – anioł trzymający świecę, którego kochałam. Koronkowe serwetki, starannie wyczesane frędzle dywanu. Całe to wnętrze pochodziło z czasów cesarza Wilhelma, kiedy dorastała ciotka Mimy. W ciągu dwudziestu dziewięciu lat naszej znajomości, od początku lat pięćdziesiątych do 1980 roku, nic tu nie doszło, nic nie zniknęło, niczego nie przestawiono ani nie stłuczono. Zmieniające się pomoce na przychodne dokładnie wiedziały, co mają robić, zachowywano tu co do joty niezmiennie standardy czystości i porządku. Sprzątanie tygodniowe, miesięczne, wielkanocne, bożonarodzeniowe: ciotka Mimy, jak opowiadano, była od młodości pedantyczną zwolenniczką czystości. Od dawna już zlecała sprzątanie, zakupy i gotowanie gosposiom. W małej kuchni, na dwufajerkowej kuchence, każdego dnia gotowano dla niej obiad. Skromny, tak jak błękitno-biały serwis na co dzień i grube szklanki do wody. Nam, dzieciom, wolno było posługiwać się tymi rzeczami, nakładaliśmy sobie ptysie, ruski chleb i nalewaliśmy wspaniałe soki – podawaliśmy je również ciotce. Od lat sześćdziesiątych prawie nie ruszała się z fotela, z kilku błahych powodów. W sobotę chodziła do fryzjera, w niedzielę na wczesną mszę – dwa święte wydarzenia. Na spacer, nawet na cmentarz, trzeba było długo ją namawiać.

Źle widziała. Powoli traciła wzrok. Nikt o tym nie mówił, ona także nie. Być może długo nie zdawała sobie sprawy z tego postępującego procesu. Wtedy nie chodziło się ciągle do okulisty, by badał wzrok, przepisywał krople i oznajmiał prognozy. Były pewne symptomy tego procesu, ale nie traktowano ich jako alarmujące. Pamiętam, że w okresie naszych spacerów na cmentarz ciotka Mimy przychodziła do nas na Parkstrasse, żeby pomagać mamie przy przebieraniu grochu, i prosiła mnie, żebym sprawdziła, czy nie ma w nim jeszcze robaków. Zgodnie z rodzinnymi opowieściami miała już w latach czterdziestych, jeśli nie wcześniej, problemy z widzeniem. Podobno była „dziką automobilistką”, jadącą wprost przez wysepki dla pieszych, chociaż powinna je omijać, często też przejeżdżała kury. Rodzina

przypisywała to jej temperamentowi, jej przekornemu charakterowi, a nie oczom. Za moich czasów chodziła już tylko pieszo.

Moja cioteczna babka była człowiekiem z dawnych czasów, wyczuwałam to już jako dziecko. Kilka dziesięcioleci później natrafiłam na odpowiednie określenie: autor Leslie Poles Hartley, urodzony w 1895 roku, a więc rówieśnik Mimy Beumer, napisał: „The past is a foreign country: they do things differently there”. Przeszłość jest obcym krajem – w tym to kraju, zakonserwowanym w jej bawialni, byłam prawie codziennym gościem. W niedzielę otwierała dla mnie szare stalowe drzwi, prowadzące do sklepu tekstylnego. Tam hasałam po wszystkich działach, zawijałam się w dywany albo nakładałam męskie kapelusze. Kiedy obudziło się we mnie zainteresowanie modą, przymierzałam przed lustrem najnowsze kolekcje, ołówkowe spódnice w wesołych kolorach, także geometryczne tuniki od Courrège’a, w których wyglądałam jak astronautka. Również błękitne dzinsy, których nie wolno nam było nosić w naszej katolickiej szkole dla dziewcząt. Po wycieczce do aktualnego sezonu zanurzałam się znowu w świecie stagnacji. Stalowe drzwi między tymi obydwojma światami były niczym śluza czasu, przekraczałam ją w naturalny sposób.

O czym rozmawialiśmy z ciotką Mimy? Choć intensywnie usiłuję sobie to przypomnieć, nic mi nie przychodzi do głowy. Na pewno opowiadałam jej o szkole, o robótkach ręcznych i kaligrafii, której nie znosiłam. O jedynkach i dwójkach z wypracowań, o katastrofach z matematyki. Pamiętam, że opowiadała z zachwytem o angielskiej królowej, której zdjęcie ukazało się w DIE BUNTE, ilustrowanym czasopiśmie, w którym mogła jeszcze od biedy rozpoznać ilustracje. Dzisiaj powiedziałoby się „small talk”, inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć tej luki w pamięci. Myślę, że ważniejsze od rozmów z nią było dla mnie poczucie bezpieczeństwa w jej domu. Na tej wyspie mogłam się odprężyć, uciec na chwilę od przygnębiającej sytuacji w rodzinnym domu, od dyktatu autorytarnej szkoły. Od wszystkich, którzy mi mówili, jaka mam być. „Dziewczynka nie robi min!”, „Musisz być miła”, „Dzieci, które czegoś chcą, dostają po głowie!”

W ciągu moich dziecięcych i dziewczęcych lat było z pewnością wiele powodów do zwierzeń u ciotki Mimy. Nie robiłam tego, bo przeczuwałam

lub wiedziałam, że ciocia nie zrozumie, o co mi chodzi. I odwrotnie – że ja nie zaakceptuję jej wartości i sądów – ultrakonserwatywnych, pochodzących z dawnych czasów. Myślę, że obie nie upierałyśmy się przy swoich zasadach, ponieważ potrzebowałyśmy się nawzajem i nie chciałyśmy się stracić.

Z innymi dorosłymi stale miałam konflikty. Im byłam starsza, tym bardziej zażarcie się spierałam. Od kiedy zobaczyłam zdjęcia z obozów koncentracyjnych, stawiałam pytania. „Co robiłeś w Rosji?” – pytałam. Czy ojciec był mordercą? Milczał, podobnie jak nauczyciele, dorośli chyba nawet nie zauważali, jak bardzo zagubieni byliśmy jako młodzież. Słuchaliśmy Beatlesów „All you need is love!” i zapuszczaliśmy włosy. Już w wieku dojrzewania czytałam Camusa i Sartre’a, „Wyklęty lud ziemi” Frantza Fanona i Heinricha Bölla; chciałam, żeby to on był moim ojcem. Uciec, uciec z tej dziury zabitej deskami, obojętnie dokąd! „Odrzucam was i odrzucam to społeczeństwo” – napisałam pewnego wieczoru na kartce i położyłam ją na łóżku rodziców. Nawet jednej nocy nie wytrzymałam w zimnie na ławce w parku, byłam jeszcze na pół dzieckiem.

Na razie udawały się tylko małe ucieczki. W niedzielę wagarowałam z mszy i szłam do ciotki Mimy. Na „śniadanie z winem” – był to nowy rytuał, wino, które piłyśmy, nazywało się „Trittenheimer Apotheke”, był to dosyć słodki trunek znad Mozeli. Stopniowo dołączali się do nas moja siostra i dwóch braci. Od czasu do czasu jakiś chłopak, z którym „chodziłam”, ale nie chciałam go pokazywać w rodzinnym domu. „Tajne spotkania”, których ślady potem starannie zacieraliśmy, a które ona tajiła chyba nawet przed swoim Bogiem, z którym poza tym pobożna katoliczka miała dobry kontakt. Czy widziała jeszcze swoimi słabymi oczami, że moje spódniczki były coraz krótsze, że nie nosiłam stanika? Z naszych luźnych, czasem gorzkich wypowiedzi mogła to i owo wywnioskować – ale niczego nie komentowała. W czasie karnawału zapraszała naszą całą bandę do siebie, z jej trzech okien w bawialni można było świetnie widzieć kolorowe wozy. Podczas gdy my z naszych miejsc w łóżach wołaliśmy „Helau!” – był to specjalny okrzyk karnawałowy – ciocia siedziała w fotelu i cieszyła się, kiedy jej opisywaliśmy, co widać przez okna.

Przy dobrej pogodzie wyprowadzałam ją czasem do parku miejskiego. Trzymałam ją pod pachę, opierała się na mnie i narzucała tempo – powoli, szurając nogami. Sucha gałązka, kamień – ciotka zatrzymywała się. Ostrożnie omijałam z nią przeszkodę, próbowałam osłabić jej lęk, opowiadając o kwiatkach i drzewach naokoło nas. Najniebezpieczniejszym odcinkiem było małe oczko wodne, które można było przebyć po ułożonych płaskich płytach kamiennych, między nimi była woda szerokości stopy. Ciotka Mimy chciała koniecznie chodzić po tym mostku, upierała się jak osioł, a miała już prawie osiemdziesiąt lat. Musiałam piekielnie uważać, żeby się nie przewróciła, czasem obejmowałam jej szczupłą talię, żeby była bezpieczna. – Teraz krok! – komenderowałam – Jeszcze krok!

Nigdy nie miałyśmy wypadku, ale w mojej wyobraźni tak. Podczas studiów w Berlinie Zachodnim miałam powracający koszmar senny: obie zataczamy się na mostku, ona wymyka mi się, pada, a ja z nią. A woda jest głęboka, może jezioro, może nawet morze. Opadamy na samo dno, tam udaje mi się objąć jej chude ciało. Próbuję wziąć ją na barana, ale ona wierzga jak żrebak, wiem, że nigdy nie nauczyła się pływać. Wygląda to tak, jakbyśmy walczyły ze sobą. W ostatnim momencie odpycham się od dna, jeszcze raz prawie ją wypuszczam, ale wynurzamy się w końcu na powierzchnię. Jesteśmy uratowane! Budzę się spanikowana. Mąż obejmuje mnie; zna ten sen. Zna także ciotkę Mimy, bo jest jednym z chłopaków, których do niej ciągnęłam. Wówczas tłumaczyliśmy ten sen jako wyraz mojego nieczystego sumienia, że ją tak rzadko odwiedzam, nie przyjmując do wiadomości, jak strasznie jest samotna. Zerwałam wszystkie mosty, wiodące do Ahlen, potrzebowałam co najmniej dziesięciolecia dystansu – a to dotyczyło również ją. Od czasu do czasu pisałam kartki do ciotki, a ona zawstydziała mnie pieniędzmi, które wkładała do koperty. Pamiętam, jak pewnego razu – byliśmy wtedy na wyspie na morzu Marmara, w lecie 1974 roku, podczas kryzysu cypryjskiego – na tureckiej wiejskiej poczcie dostałam kopertę ze stoma markami. Niewiarygodnie dużo pieniędzy jak dla nas – studentów. A przecież sama wiele nie miała. Z renty, którą wypłacał jej brat Heinrich, kupiec tekstyliów, prowadziła bardzo skromne życie.

Odłożyła pewną sumę na pogrzeb – i na operację oczu, gdyby naukowcy wynaleźli jednak coś, co wybawiłoby ją od ślepoty.

Na studiach zaliczałam seminaria o epoce wilhelmińskiej. Zgłębiałam strategię morską Bismarcka, czytałam z płomiennym oburzeniem książki o ludobójstwie niemieckich władców kolonialnych, popełnionym na Hererach. Te militarystyczne, imperialistyczne Niemcy, myślałam, były więc czasem ciotki Mimy. Być może marzyła wtedy o mężczyźnie z wygolonym karkiem, tak odważnym i posłusznym zwierzchności jak Dietrich Heßling, postać z „Poddanego” Henryka Manna? Przypominał mi się „dzień Sedanu” z roku 1870, o którym wspominała co roku, dzień zwycięstwa nad Francją, do którego przyczynił się także jej ojciec. „Sedan”, jeden z wyrazów ze słownika ciotki Mimy, który to wyraz zapamiętałam już w dzieciństwie, do tego dochodził jeszcze jeden, wesoły: „Bumtarabum”. Czy kroczyła rytmicznie do muzyki marszowej przez Ahlen, w roku 1914, kiedy zbliżała się już pierwsza wojna? Takie pytanie stawiałam sobie jako lewicująca studentka.

Mimo to wystrzegałam się przykładania swoich szablonów do jej życia, pozostawiałam rzeczy nierozstrzygniętymi. Mogłam ją zapytać, ale wolałam kontynuować naszą wspólną tradycję: schodzenia z drogi konfliktom. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych, długo po jej śmierci, kiedy napisałam już kilka biografii obcych ludzi, odważyłam się na rekonstrukcję życia ciotki Mimy, to znaczy na połączenie ze sobą fragmentów, które uzyskałam z rodzinnego archiwum Beumerów i ich ustnych wypowiedzi. Nie ma tego dużo: najwidoczniej jako dziecko była „małą dzikuską”, na jednej z fotografii widać ją z krzywo zawiązaną kokardą na trzykołowym rowerku. Maria Beumer, urodzona w roku 1888 jako najmłodsze dziecko z czwórki rodzeństwa, dorastała w dobrobycie w ciągu pierwszych lat po ustanowieniu Cesarstwa Niemieckiego (1871). Po ukończeniu szkoły, a więc po ośmiu klasach przewidzianych dla dziewcząt, była w Hanowerze na pensji dla panienek z dobrego domu, gdzie otrzymała ostatni szlif w kobiecym zachowaniu i prowadzeniu domu. Miała „kółko” przyjaciółek w Ahlen, wyłącznie dziewcząt z mieszczańskich domów tak jak ona, które grały w tenisa i śpiewały w stowarzyszeniu śpiewaczym „Cäcilia”. Mimy wybijała się tam jako pierwszy sopran, pozostało z tego okresu zaproszenie – na wytwornym

papierze czerpanym – na wieczór mozartowski. Bez wątpienia była dobrą partią, jednak nie ma nigdzie wzmianki o jej życiu uczuciowym, nawet najmniejszej aluzji, że coś tam było. Na podstawie tego wszystkiego, co wiem, wydaje mi się, że rok 1914 był wielką cezurą w jej życiu. Śmierć ukochanego brata Eugena, w listopadzie, musiała dla niej być ciężkim szokiem. Na froncie francuskim odstrzelono mu połowę czaszki. Potem w grudniu śmierć ojca, niepokieszonego po stracie najstarszego syna. Mimy skończyła wtedy dwadzieścia sześć lat, była w kwiecie wieku. W ciągu następnych lat napatrzyła się w lazarecie w Ahlen na śmierć niezliczonych młodych mężczyzn, na najstraszliwsze okaleczenia. Pierwsza wojna światowa była końcem świata dla wielu spośród jej generacji, potem wszystko było już inne. Niemcy stały się republiką, a ona, według standardów owego czasu, „starą panną”. Przypadło jej w udziale pozostanie przy matce i troska o nią do końca jej życia w roku 1941 – wtedy szalała już następna wojna.

Widziała, jak Minchen, jej starsza siostra, robiła karierę i została kierowniczką zaopatrzenia w firmie tekstylnej Beumerów, jak jako samodzielna kobieta jeździła do Berlina i Wrocławia. W dwudziestych i trzydziestych latach obserwowała dorastanie dzieci jej brata Heinricha, pięć wspaniałych córek, jedną z nich jest moja matka Anna. Opowiadała ona, że kiedy była dzieckiem, Mimy była sfrustrowaną, raczej smutną osobą. Uchodziła za „potwora”, zarówno wobec jej siostrzenic, jak i innych ludzi. Co niedziela, rzeczywiście każdego tygodnia, zjawiała się na kawę. Od razu kontrolowała, czy jej szwagierka, żona brata Heinricha, porządnie posprzątała, przesuwała palcem po wszystkich meblach. Potem pozowała na wychowawczynię: „Siedzieć prosto! Dzieci przy stole milczą jak ryby!” Wszyscy się jej bali, także praktykantki w sklepie tekstylnym. Kto przy sprzątaniu przeoczył choćby szpilkę, dostawał po karku. Istnieje mnóstwo tego rodzaju historii, w średnim wieku musiała być zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego znałam.

Nagle, niczym salto w nową epokę, nastąpiła jej przemiana w roku 1951. Mogło być wiele powodów do tego. W każdym razie miały one coś wspólnego ze mną i moim rodzeństwem: Mimy chciała być ciotecznią babcią, duszą i ciałem, doświadczyć szczęścia, które dotąd ją omijało. I dopięła

swego, cieszyła się nim przez dwadzieścia lat, dopóki mój najmłodszy brat nie poszedł na studia. Potem nadszedł trudny czas: ciemny pokój, znowu pusty, a ona całkowicie niewidoma. Ostatnie półtora roku przed śmiercią leżała w łóżku – chuda jak szczapa staruszka z odleżynami na pośladkach, tak opisywała ją moja matka, która pielęgnowała ją na zmianę z jedną z jej siostr. Aż do dzisiaj wstydzę się, że tak rzadko się u niej pokazywałam. Przypominam sobie jej woskową dłoń, ptasią twarz, wokół której wiły się delikatne, siwe włosy, nie spinane już grzebieniami. Jedną z ostatnich jej wypowiedzi był cichy, zirytowany okrzyk: „Papież jest Polakiem!” Był to szesnasty października 1978 roku, dzień, kiedy wybrano na papieża Karola Wojtyłę. Umarła w niedzielę wielkanocną 1980 roku. Nie wzięłam udziału w jej pogrzebie, wymówiłam się ważnym spotkaniem. Cmentarze były dla mnie złowrogie, oddawać komuś ostatnią posługę wydawało mi się „out of time”.

Wówczas ustępowali ostatni współcześni odległej ery wilhelmińskiej. Na horyzoncie ukazywała się już w zarysach nowa era: powtórne zjednoczenie podzielonych Niemiec, podzielonej Europy. Wydarzenia roku 1989 zaprowadziły mnie na wschód, gdzie – po pewnym okresie błądzenia – odkryłam swoją drogę jako historyczka i dziennikarka. Podczas moich podróży często myślałam o Mimy, wzywałam ją, by mnie wspomagała. Na przykład w Mołdawii, w lipcu 1992 roku, kiedy przejeżdżaliśmy przez na pół zrujnowany, będący pod ostrzałem most na Dniestrze, koło Bendery. W Puszczy Rominckiej, gdzie polował Wilhelm II, w dzisiejszym obwodzie kaliningradzkim, rozmawiałam z nią w myślach. Co czułaby na widok zniszczonych, zapuszczonych cmentarzy? Moje stałe podróże między Niemcami a wschodem – Rosją, Litwą, Kazachstanem – przypominały mi służbę czasu z mojego dzieciństwa. W syberyjskiej Isbie albo u chłopki kołchozowej nad Niemnem instynktownie zachowywałam się tak jak w bawialni u ciotki Mimy: po prostu siedziałam, ufna jak dziecko, jadłam i piłam, zadawałam mało pytań i unikałam zbyt pochopnych sądów o tym, co widziałam i słyszałam. To wyczekujące zachowanie stało się z czasem moją metodą, dosyc owocną.

Po śmierci Mimy uświadomiłam sobie, że była ona przez całe dziesięciolecie strażniczką naszej rodzinnej historii: nikt nie znał się tak dobrze na zmarłych z naszej rodziny. Nie opowiadała jednak o wszystkich. Pewnego razu, w sylwestra 1999 roku, mocno się z nią z tego powodu w myślach pokłóciłam. Moja siostra i ja chciałyśmy z okazji końca tysiąclecia splądrować wreszcie piwniczkę z winami w willi dziadków. Między innymi znalazłyśmy prastare butelki z dwudziestych i trzydziestych lat, wszystkie kupiono w tej samej winiarni w Münsterze, u Niemera. Niemerowie byli naszymi krewnymi, tyle wiedziałam, a niejaki Hugo Niemer, kuzyn Mimy, jak się teraz dowiedziałam, około roku 1900 poślubił niejaką Norę Cohen ze Strasburga. Mieliśmy więc w rodzinie odgałęzienie żydowskie!

Najwidoczniej związek ten był uważany za mezalians, wykreślono go z autoportretu dumnej rodziny kupieckiej. Być może da się to wytłumaczyć antysemityzmem w jego katolickim wydaniu, może też wiąże się z tragicznym końcem tego odgałęzienia. Ellen, jedyna córka Hugona i Nory Niemer, mieszkająca w Berlinie, prezeska Niemieckiego Związku Gospodyń Domowych w 1933 roku odebrała sobie życie. Co oznaczało milczenie ciotki Mimy na ten temat? Nagle pojawiło się moje długo spychane w podświadomość pytanie, czy paktowała ona z reżimem hitlerowskim. Usunęłoby mi to ziemię spod stóp, na refugium mojego dzieciństwa padłby cień. Na szczęście, dzisiaj mogę to stwierdzić z całą pewnością, nie była „naziiiistką”, nikt z Beumerów nie sprzyjał narodowemu socjalizmowi.

Zachowałam więc miłość do ciotki Mimy. Świecznik z aniołkiem ciągnę ze sobą z jednego mieszkania do następnego, podobnie komódkę z dębowego drewna z przyborami do szycia, z której kiedyś braliśmy sobie słodycze. I chodzę na jej grób, za każdym razem, kiedy jestem w Ahlen. To ten sam grobowiec, w którym leżą jej rodzice i „zastrzelony na śmierć” brat Eugen. Grabić zmarłych – przypomina mi się moje pierwsze zadanie, ale przeważnie zapominam grabek.

Stuttgart, sierpień 2015

A POKRYF NADDUNAJSKI

Na początku będzie poczęcie
w niepojętych, strasznych, a może nawet
cudownych okolicznościach miłosnej przygody.
Kwestia niepokalania pozostanie otwarta.
Będzie to ciąża wysokiego ryzyka
nie tylko z powodu nieznanego Ojca
i nieletniej Matki,
ale także przez niepewność jutra,
kryzys zadłużeniowy i zapowiedź spisu powszechnego.
Nocą, niby to przez sen, anioły
przeprowadzać będą rozmowy ostrzegawcze.
A kiedy dopełnią się dni,
na niebie pojawi się dziwnie jasna gwiazda,
bardziej koniunkcja niż koniunktura
albo kometa z lodowatym warkoczem
kosmicznego pyłu.
I choć nigdy nie wiadomo,
czy istnieje jakieś życie po porodzie,
kur zapieje, wybije niejasna godzina
narodzin,
odejdą wody i światłość świata
będzie widzialna na uboczu nie bardzo
podłego miasta z przepelninymi gospodami
i galeriami handlowymi, gdzieś w jaskini
biologicznego hazardu.

Zupełnie anonimowi Mędracy ze Wschodu
przybędą z karawaną całkiem, niestety,
obojętną na rzeź niewiniątek.
Ludzie ludziom zawsze gotowali
taki los, zwłaszcza starsi ludzie młodszym,
biali kolorowym, politycy bezpartyjnym,
mundurowi cywilom, szefowie podwładnym.
Ale tak czy inaczej zdegenerowany reżim
chcąc nie chcąc podcina grzędę,
na której siedzi zaślepiony swoją chciwością.
Jego dni są policzone jak włosy na głowie,
która spada spod gilotyny.
Potem nastąpi cisza
podszyta białym szumem
medialnych andronów, embargo handlowe,
cenzura internetu, blokada kont, zamknięcie
przestrzeni powietrznej i naloty. Przyśpieszone
pustynnienie, postpolityczne ruiny.
Tylko nielicznym uda się zbiec, przedrzeć
przez granicę, przedostać przez góry,
przez morze, ocalić skórę
dla następnej gehenny w nieznanym.
Plama biała jak mgła i gwałtowna
jak tsunami ogarnie wszystko...
I co dalej? Dalszy ciąg, oczywiście, nastąpi,
albowiem przyczyny w skrytości cierpliwie
przypoczwarzają się w skutki.
O długiej tajemniczej przerwie w życiorysie
będzie się później spekulować tylko
na podstawie apokryficznych strzępków.
Zgodnie z kanonem, tylko raz,
w jakimś świętym mieście,
w jakiejś synagodze, meszycie albo

katedrze pojawi się cudowny chłopiec
znikąd, bez przeszłości, bez rodziców
i rodzeństwa, ale za to bardzo uczony
w Piśmie i biegły w łamaniu kodów dostępu,
a jego błyskotliwość przyćmi
safandułowane mędrkowanie
miejscowej elity.

I potem znowu długo, długo nic.
Praca, dom, praca, dom, jeżeli jest
jakaś praca i jest jakiś dom.
Ale z domu tak czy inaczej
należy kiedyś wyjść,
choć przecież nie każdy dom
musi być domem niewoli.
Bezwzględnie jednak wyjść
z domu należy.

Najlepiej bez laptopa, bez telefonu
komórkowego, najlepiej na pustynię.
Tam trzeba będzie odeprzeć cały serial
pokuszeń, aby po takim oczyszczeniu
i wzmocnieniu przyjąć chrzest wodą
z okresowo wysychającej rzeki,
nad którą rozlegnie się grom
o gołębicim sercu i wszechwidzącym oku
gadający z jasnego nieba,
ale jednak w sposób absolutnie
niezrozumiały dla krajanów.
Tym niemniej działalność publiczna
może się zacząć. Poezja stosowana,
społeczne wizjonerstwo, utopistyczne znachorstwo
i wędrowny mesjanizm.

I trzeba będzie odejść do innych krain,
wyjechać za granicę, bo we własnym kraju

trudno o robotę godziwą i wiedzę radosną .
Trzeba będzie uzdrawiać wbrew
aktualnej medycynie, czynić cuda
wbrew powszechnemu prawu ciężenia
i innym potocznie uznawanym zasadom
fizyki, chemii, biologii i ekonomii.
Trzeba będzie być posłusznym instrumentem
innej rzeczywistości, słusznie nazywanej
nadprzyrodzoną, która bardzo cierpliwie
znosi widzialną i niewidzialną rzeczywistość
tego świata pogrążonego w kiczu przemocy
i sentymentalizmie niezawinionego cierpienia
na tle słonecznych erupcji
i niejasnych wpływów księżyca.
Coś takiego nie może jednak
trwać za długo.
Czegoś takiego nie można
tolerować bez końca.
Pismo będzie będzie musiało
się wypełnić,
jego litery będą
miały naciągnąć krew,
żeby potem Duch mógł zstąpić
w postaci płomiennej kropki
nad "i".
Trzeba będzie wydać
własne ciało na pożarcie
i własną krew na krwiopijstwo,
na ofiarę, na stracenie, na amen,
na wieki wieków,
choć ani ciało ani krew
nigdy nie są własne
jak choćby według tego

niby to świętego prawa własności,
które determinuje
zdegenerowaną cywilizację zachodnią.
W każdym razie coś takiego -
czyli motywowane etycznie i metafizycznie
odszczępieńcze społecznikowstwo -
nie może za długo trwać,
bo ma zbyt rewoltujący wydźwięk społeczny
i powoduje liczne rozdźwięki polityczne.
Coś takiego za bardzo podmywa status quo,
a przede wszystkim narusza żywotne interesy
arcyurzędników, arcykapłanów,
arcyprezesów, arcyzauszników,
dyrektorów, generalicji,
deweloperów, operatorów,
notariuszy, prokuratorów,
sędziów w stanie spoczynku
i działaczy związkowych
w stanie wzvodu, graczy
giełdowych, marketingowców,
PRmenedżerów, księgowych, kasjerów,
sekretarzy, redaktorów, magnatów
medialnych, celebrytów i celebrytek,
a także bodyguardów i cieciców...
Uff! Proces musi być sfingowany,
egzekucja nie może być odroczone.
Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił
nie może być odwołane. Śmierć
musi być rzeczywista i będzie
rzeczywista, bo przychodzi w trybie
metamorfoz natury i jest bramą
o rozmiarach igielnego ucha
do tamtego świata.

I żadna kultura – ani wysoka
ani niska, ani masowa ani niszowa –
jej nie przemoże. Bo niby po co?
Ale zanim nastąpi nowa ziemia
i nowe niebo
nie będzie szansy na spokojną,
kulturalną a zwłaszcza dostatnią
emeryturę, na hospicjum, na przekazanie
jednego procentu od podatku.
Dlatego pozostaje tylko wierzyć
w Zstąpienie do Piekieł,
Wejście w Chwałę,
czymkolwiek by ona nie była,
w Zmartwychwstanie,
jakkolwiek miałyby nastąpić,
w Ciało Chwalebne,
jakie by nie było,
a przede wszystkim w Tryumf
Ducha Wiecznego Rewolucjonisty
i Wniebowstąpienie.
Zwłaszcza jeżeli Niebo
znajduje się tuż tuż,
a Królestwo Boże
jest w nas.

(Bratysława-Wiedeń-Bratysława, Wielkanoc 2012)

B YLICA

To ostatnie dni jej imperium. Żadne flagi nie powiewają z martwych członków, a jej gałęzie pokonane przez czas lub zarazę nie chwieją się na wietrze. Tylko dwa posterunki trwają, dwie szarozielone sadyby szarości i zieleni, w największym z ich domów generał podnosi widelec zanim wyda niedbale rozkaz wymarszu dla swoich głodujących żołnierzy. Tu na polu skarłalej kapusty, astmatyczny kapłan budzi się w nocy chwytając powietrze. Piechurzy sięgają po inhalatory. Kurtyzany brązowią swe paznokcie. W świecie wąsów oraz zużytych kwiatów zawsze szerzą się pogłoski o barbarzyńcach gromadzących się poza drutami kolczatymi, więźniów rozstawionych na ostatniej łące umieszczonej na naszych mapach. Nawet nasz najodważniejszy kartograf woli towarzystwo generała od przejścia obok tego płotu, chociaż generał nigdy nie podzieli się swą strawą. Niewątpliwie posłaniec ze stolicy jest już w drodze do pierwszego posterunku, przynosząc rozkaz naszego odwrotu. Kto odziedziczy obietnicę tych sztywnych członków? Mrówki, trawa i wiatr. Jaka jest tu cena mądrości? Wiedzą tylko kapłan i więźniowie.

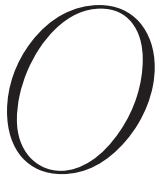


AGEBRUSH

for Aleš Debeljak

These are the last days of its empire. No flags fly from its dead limbs, nor do its branches lost to age or blight bend in the wind. Only two outposts remain, two settlements of grey and green, in the largest house of which the general lifts his fork before casually signing marching orders for his starving troops. Here in a field of shrunken cabbages the asthmatic priest wakes in the night, gasping. Foot soldiers reach for their inhalers. Courtesans bronze their nails. In a world of whiskers and spent flowers there are always rumors of barbarians gathering beyond the barbed wire the prisoners strung across the last meadow on our maps. Even our bravest cartographer prefers the company of the general to wandering past that fence, though the general will never share his food. No doubt a messenger from the capital is already on his way to the first outpost, bearing orders for our retreat. Who will inherit the promise of these stiff limbs? Ants, grass, and wind. What is the price of wisdom here? Only the priest and prisoners can tell.

Jwoja historia jest prosta. Gdy powrócisz, niczym wydra wynurzająca się z jeziora by złapać oddech, nie zastaniesz wielu bliskich. Nie znajdziesz słów dla krótkich pozdrowień, pół roku, nieudanych misji, białego fosforu rozpalającego pasję w oczach żołnierzy, odległego gwizdu na stromych zboczach, na które nigdy się nie wspiąłeś, trzciniowych koszyków dzieci unoszących się cicho w dorzeczu, tak jak nosisz w sobie ten stały piekący ból, konstelacje odkryte w przeczuciu, orientalne pieśni miłości, rozczarowanie czym byliśmy i będziemy. Wierz mi: to twoja historia. Później opowiem ją znowu – tylko lepiej



ORVIETO

(fragment from the novel *ULTAMARINE*)

I would stand in front of the door to my father's studio and before knocking, if I didn't hear him whistle or playing his recorder, I would know that his painting was not going well. Or that there was a bump in the road, something that was throwing him off his usual stride.

I find a small, hard cover book next to the armchair where he usually sat, the only place from which he could properly see the painting he was working on. The gold print on the glossy cover tells me this is light reading. Old age takes on various forms. With my father, he became slightly stooped, not as tall as he once was, his hands were covered with liver spots, ten years after going gray his thick eyebrows went white. And now, here was one more sign of old age – he had started to read “the thoughts of great men”.

“You know that there are no thoughts here, this is just a collection of banal sentences taken out of context,” I say after some hesitation. “The only thing that exists is experience.”

He shrugged his shoulders, seeming smaller somehow, looking like a child who had done something wrong.

Another sign of his getting old was that he became more and more sentimental.

“Come on,” I said, “get rid of that powder puff of a book, toss a few basics into your bag and let's go to Orvieto. Today, tomorrow, the sooner the better...”

There was almost a smile on his face.

Bit by bit, I slowly discovered what was making him so uneasy. A few days earlier, a man in the uniform of a medical officer had come to see him

on somebody's advice. He said he was an admirer of my father's work and asked if he would let some fifteen of his paintings hang in the temporary gallery on one of the floors of the big military hospital, built in the days of socialist normalcy. It would be an unofficial exhibition and would last a few weeks.

My father, always sensitive to other people's illnesses, agreed without asking any questions.

On the appointed day, a van with military license plates pulled up in front of the building. A young officer stepped out along with a couple of young men who, my father assumed, were civilians working for the army.

They quickly loaded the paintings into the van.

My father didn't say so, but I'm sure they got friendly as soon as they got into the van and started driving the paintings to the hospital: his knack for striking up conversations with all sorts of people was at odds only with his image of a reserved, often absent-minded man.

Just as quickly, the young men took the paintings up to the fifth, sixth or whatever floor of the central military hospital, and the gallery in the reception area. They hung the canvases on the free wall space, following my father's instructions.

"You know," he said, "it's not such a bad space... the walls are nice and white... and there are a few sofas, low tables, some modern furniture..."

What he meant, I'm sure, is that he'd exhibited in worse places.

"There's another room farther on, a kind of dining area. I think there's a kitchenette on every floor. Just as we were about to hang the paintings, some nurses passed by pushing food trays, we could hear the rattle of the cutlery and metal dishes..."

Only too well aware that gear and tools tend to disappear in temporary galleries, he had brought with him a roll of strong, faded cord. He'd forgotten, however, to bring something to cut it with. Holding the roll of cord in his hand, he asked one of his helpers, a young man "as strong as an ox", to borrow a knife from the kitchen, or a pair of scissors if they had them, so he could cut the cord.

Everyone fell silent. The young men gathered around my father, their eyes lowered. One of them finally mustered the courage to say:

“They won’t give it to us.”

“Unless...,” the other one said, “you go to the kitchen and cut the cord there.”

It was only then that my father realized they were in a psychiatric ward, in a kind of out-patient hospital, and that these “nice-looking young boys” were people with a grim future, men who had returned from the war, from Vukovar, from Bosnia and Slavonia, that behind their “normal appearance”, what they had seen, and perhaps done, had turned them into permanent wrecks. On the way back to his studio, he looked out of the van’s windows at the people in the street. He tried to identify, to count how many of them should never be given a knife.

I could feel, creeping into the silence that followed this story, his deep fear not of what awaited him at the great bend in the road of his life, not of what lay on the other side of these turbulent waters, but of the world he was leaving behind to us.

When one abstracts all the words of praise and incidental details, Vasari’s biography of Piero della Francesca is really a story about loss. Even in Vasari’s day, many of Piero’s works had already been lost, destroyed or painted over, the fruits of his painstaking mathematical work were usurped by an ungrateful pupil who published them under his own name, and his old age was blighted by blindness. As if his sight had been consumed by all those whites and light blues, leaving him in the dark.

Despite getting old, my father retained his vigor and equanimity, he did not buckle under, he remained true to himself and somewhat alone in a crumbling world. He held on to his work and never lost the energy to paint. He kept his sight – it was the world around him that went blind.

And I know that on that winter morning, before dark ultramarine filled his field of vision, a view etched in his memory from the cliff of the high volcanic plateau in Orvieto came to him: the endless, rolling fields, the nuances of yellow in the harvested, partitioned fields and the dark cypress trees lining the winding road that climbs up to the solitary stone house.

* * *

Behind the wheel is the erstwhile boy, now a man; sitting next to him is his father. The wise old senex had long since put away his driving license, he wanted to simplify life as much as he could, he would walk around town, never noticing how decrepit public transport had become, how dirty, depressing, and humiliating, indeed he didn't really notice anything that would have desecrated his picture of the world with banality, ugliness or perfidy. I guess that is the privilege of old age, I thought. A different child was asleep on the back seat with its mother, the gear shift was not shaped like a black Bakelite ball, the hand brake did not look like an umbrella handle, some good souls had long since driven our boxy Ami 6 station wagon down the Champs-Élysées, the world had invented many new words in the ensuing years, the marvelous notion of ergonomics had appeared, the air seemed to positively glide along the curves of the new car, we were on our way back from a small town in Serbia, from my father's birthplace, we were heading north, it was autumn, music was playing from the well hidden speakers.

"Why didn't you ever let us put a radio in the car? I remember I kept asking you to buy one..." I try to strike up a conversation.

My father waves his hand dismissively, I can read his codes, his gestures, this means that it doesn't matter anymore, that that was all a long, long time ago. Or perhaps the answer is really a question: why am I trying to desecrate this music and this glorious scenery with superfluous questions. Superfluous and pointless.

What he is saying, without uttering a word – while Nigel Kennedy's violin, with the band "Kroke" playing tight background, recognizes and gives voice to harmonies that in the Balkans have survived centuries, peoples, migrations, resurrecting chords and rhythms known as far back as the Thracian musician Orpheus – what he is saying is that he has nothing more to say to me, that he has already told me everything he has to say, that anything more than that would be excessive, indecently excessive, and, you know, there should never be too much of anything in a painting, there must be measure in all things.

The asphalt road, divided by a solid white line one minute and a broken white line the next, followed nameless streams, short ravines periodically turned into dales and glens, giving us a view of the clear blue sky: big, strangely ragged clouds would suddenly look like an hourglass, the clock that captures time. I pictured the strange, ancient timepiece, shaped like two glass breasts. The craftsmanship of the glass blower allows the barely visible pore to secrete not milk but sand, which trickles from the top bulb to the bottom, forming a miniature sand dune. The dune grows almost up to the pore, and the fresh grains of sand that slide down its sides make it look more and more like a dome. But this picture, this double exposure, quickly vanishes, the forests in the surrounding hills declare their diversity in brown, ocher and still green tones, the occasional maple tree is an explosion of red; my father's favorite season was autumn, its colors predominated on his palette, autumn was a sort of conclusion to nature's cycle, a kind of moral to the story; his paintings were always seeking an answer to this fullness; the gilding of the world around us makes sense, of course, only in discourse with the blue, just as the red-headed Celt's violin exists only when imbued with the music of the accompanying trio, and while I'm driving I watch my father's knobby fingers tap to the music on the bulging veins of his clasped hands, as if this barely audible tapping, submerged in the beat of the drums, the cymbals and the vibrations of the violin, is my father's only remaining connection with the inside of the car; he is part of the landscape, his blood flows through the labyrinths of vegetation, connecting the roots and undergrowth with the leaves and their changing colors.

He was happy, absolutely happy; of the hundreds of ways he could be silent this was the only one devoid of any adjective, decoration or ornamentation.

I sensed that he was ready, that the measure of life, its full measure, had been achieved.

Translation from Serbo-Croatian Christina Zorić-Pribičević